

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 7 (1319) 16 LUTEGO 1986 R. CENA 12 ZŁ

ISSN 0157-8287

(INDEX 4777)

W NUMERZE:

„Napisane jest” ● W rocznicę śmierci
śp. bpa Franciszka Hodura ● Spotkanie
z emerytami w siedzibie ZG STPK ●
Wokół spraw Polonii ● Porady



BISKUP FRANCISZEK HODUR
(1 kwietnia 1866 – 16 lutego 1953)



z II Listu
św. Pawła Apostoła
do Koryntian (6,1—10)

Bracia: Napominamy was, abyście nadaremno łaski Bożej nie otrzymywali. Albowiem mówi On: W czasie sprzyjającym wysłuchałem cię. A w dzień zbawienia wspomogłem cię. Oto teraz czas pożądany, oto teraz dzień zbawienia. Nie dajemy w niczym nikomu zgorszenia, aby nie ganiono posługi naszej. Ale we wszystkim okazujemy się jako sługi Boże w wielkiej cierpliwości, w utrapieniach, w potrzebach, w uciskach, w chłostach, w więzieniach, w rozruchach, w pracach, w czuwaniu i w postach. W czystości, umiejętności, pobłażliwości, w łagodności, w Duchu Świętym, w miłości nieobludnej, w mówieniu prawdy, w mocy Bożej, przez oręż sprawiedliwości na prawo i na lewo, w chwale i w hańbie, w zniesławieniu i dobrej sławie. Niby zwodziciele, a prawdomówni, niby tajemniczy, a dobrze znani, niby umierający, a oto żyjemy, niby karani, a nie uśmierceni, niby smutni, a zawsze weseli, niby ubodzy, a wzbogacający wielu, niby nie mający, a posiadający wszystko.



według
św. Mateusza (4,1—11)

Onego czasu: Jezus zawiedzony był na pustynię od Ducha, aby był kuszony przez szatana. A gdy pościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, potem łaknął. I przystąpiwszy kusiciel, rzekł Mu: Jeśli jesteś Synem Bożym, rzeź, aby te kamienie chlebem się stały. On zaś odpowiadając rzekł: Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek; ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Bożych. Wtedy wziął Go diabeł do miasta świętego i postawił na szczycie świątyni i powiedział Mu: Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuc się na dół; albowiem napisane jest, iż aniołom swoim rozkaże o tobie, a oni na rękach cię poniosą, abyś snadź nie zranił o kamień nogi swojej. A Jezus odrzekł: Powiedziane jest również: Nie będziesz kusił Pana Boga twego. Znowu wziął Go diabeł na górę wysoką bardzo i ukazał Mu wszystkie królestwa świata i wspaniałość ich, i rzekł Mu: To wszystko oddam tobie, jeśli upadłszy złożysz mi pokłon. Tedy mu rzekł Jezus: Idź precz szatanie, albowiem napisane jest: Panu Bogu twojemu kłaniać się będziesz i Jemu samemu służyć będziesz. Wówczas opuścił go diabeł, a oto aniołowie przystąpili i służyli Jemu.

Dawniej ludzie mieli wielki szacunek dla słowa pisanego. Może dlatego, że wielu ludzi nie umiało czytać, a książki były bardzo drogie. Każda kosztowała majątek i tylko bardzo bogaci ludzie mogli sobie pozwolić na kupno rącznie pisanego skarbu. Najwyżej ceniono Księgi zawierające mowę Boga. Zwano je Biblią, Pismem Świętym lub po prostu Pismem. Tak żydzi, jak też chrześcijanie, starali się mieć je przy najmniej w domu modlitwy, gdzie uczony kapłan czytał głośno naukę Boga, a lud, stojąc, słuchał świętych Słów z najwyższą uwagą i szacunkiem. Cześć dla słów Boga zapisanych na kartach Biblii sięgała jeszcze głębiej, stanowiły one nienaruszalną normę wiary i moralności. Nikt nie ośmielał się dopuszczać sprzeciwów czy wątpliwości wobec stwierdzeń Biblii, często ze szkodą dla wiary, bo przyjmowano za rzeczywistość nawet to, co w zamyśle Autora było obrazem czy przenośnią. Człowiekowi wierzącemu wystarczyło w rozmowie zacytować odpowiedni fragment Biblii, by zamknąć wszelką dyskusję. Tak z zasady bywa do dziś, chociaż obserwujemy większą śmiałość w wypowiedaniu własnych opinii, często tylko zbieżnych z tymi, które zawiera Pismo św. Cześć i wiara, jaką dawano słowom Boga, opiera się na wszechwiedzy i prawdomówności naszego Ojca.

człowiek, ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Bożych".

Każde dziecko Boże winno umieć korzystać z Biblii. Nie ma siły ten, kto nie spożywa pokarmu, a tam jest najlepsza strawa duchowa. Szatan spodziewał się, że Syn Boga zna dobrze Objawienie. My natomiast powinniśmy otwierać oczy ze zdziwienia i zakłopotania, bo zna je wróg człowieka — szatan. W drugiej pokusie szatan dał próbkę tej wiedzy i pragnie wykorzystać ją do złego: „Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuc się na dół, albowiem jest napisane: Aniołom swoim rozkaże o tobie i będą na rękach cię nosić, abyś przypadkiem nie zranił nogi swojej o kamień”. Zbawiciel odparował spokojnie chytrą pokusę, popartą cytatem zaczerpniętym z Biblii: „Napisane jest również: Nie będziesz kusił Pana Boga swego”. Przy trzeciej pokusie nasz Mistrz przepędził złego ducha, a wówczas aniołowie „przystąpili i usługiwali Mu”.

Kilka dni temu rozpoczęliśmy Wielki Post, ustanowiony na pamiątkę czterdziestodniowego postu Zbawiciela i Jego Męki. Dlaczego Kościół każe dziś czytać opis walki z szatanem? Chce w ten sposób zachęcić uczniów Chrystusa, aby wykorzystali czas umartwienia

„Napisane jest”

Powszechny szacunek dla Biblii i jej niepodważalny autorytet postanowił wykorzystać nawet szatan. Czy nas nie zdumiewa fakt, że zły duch cytuje z pamięci całe wersety Pisma Świętego, w czasie „dysputy” z Chrystusem, którą słyszymy w dzisiejszej Ewangelii? Zdarzenie miało miejsce pod koniec czterdziestodniowego postu naszego Mistrza, Jezusa Chrystusa. Jezus, ukończywszy postne czuwanie, łaknie chleba. Ten właśnie moment wykorzystuje szatan do ataku na Bożego Syna. Diabeł nie ma jeszcze pewności, czy Jezus z Nazaretu jest tym, w którym Syn Boga stał się Człowiekiem. Zapewne z podziwem obserwował umartwienia Chrystusa. Pamiętał dzieciństwo Jezusa, objawy mądrości i świętości Syna Maryi. Ale upadły anioł nie miał pewności, czy ten Człowiek jest równocześnie Bożym i ludzkim Synem. Przystąpił do Jezusa w momencie, gdy Jego ciało było u kresu wyczerpania. Taka okazja może się nie powtórzyć. Zaspokoić głód, czyli podać posiłek ciału, to obowiązek każdego żywego organizmu. Nikt w tej pokusie nie dopatry się zachęty do grzechu: „Spraw, aby te kamienie stały się chlebem”. Jezus nie dał satysfakcji kusicielowi, odwołał się do źródła siły duchowej — Biblii: „Napisane jest: Nie samym chlebem żyje

do walki ze złem i do pilnego czytania Pisma Świętego.

W okresie Adwentu rozważaliśmy obecność zła na świecie. Przyjście Chrystusa, który pokonuje szatana, daje nam pewność, że można pokonać zło. „Ten rodzaj — uczy Chrystus — można zwyciężyć tylko przez modlitwę i przez post”. Uczniowie Chrystusa, którzy chcą wiernie wypełniać naukę swego Mistrza muszą często sięgać po Biblię, gdzie zapisane zostało Słowo Boże.

Jest jeszcze bardzo wiele katolickich rodzin, w których nawet ze świecą nie znajdziemy Pisma św. Winę za taki stan ponoszą także niektórzy duszpastarze, którzy niezbyt gorliwie zachęcali wiernych do czytania Biblii. A przecież Pismo św. można kupić bez kłopotu w sklepie Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Nowy Świat 40, 00-368 Warszawa. Niezwłocznie postarajmy się kupić przynajmniej Ewangelie. Sami wówczas przekonamy się, jakim skarbem duchowym jest Słowo Boże. Ono pomoże nam skutecznie toczyć bój ze złem we własnej duszy i w naszym otoczeniu. Pamiętajmy, że napisane jest: „Nie samym chlebem żyje człowiek”.

Ks. A.B.

Iwania" (Bp Tadeusz R. Majewski, Ks. F. Hodur, Biskup, Polak, Reformator, s. 12—13).

W Ameryce ks. Hodur nie zapomniał, że jest synem chłopca, że lud polski musi mieć swe prawa, że wolność, której Polacy podówczas pragnęli i niepodległość, za którą tęsknili — muszą być pełne, muszą obić polskie ziemie i polską duszę.

„Wobec panujących na obczyźnie stosunków — pisze bp Tadeusz R. Majewski — polskie wychodźstwo było bezradne. Próbowano wprawdzie stawić opór biskupom i księżom, uciekając się do pomocy własnych organizacji, takich jak: Związek Narodowy Polski, Związek Młodzieży „Sokół” i innych stowarzyszeń postępowych i społecznych, ale te usiłowania były bezskuteczne. Ks. F. Hodur postanowił przyjść z pomocą braciom. Na wezwanie ludu opuścił Nanticoke i przybył w 1897 roku do Scranton. Chcąc się przekonać, jak się zapatruje Stolica Apostolska na politykę irlandzkich i niemieckich biskupów w Ameryce, udał się ks. F. Hodur w styczniu 1898 roku do stolicy papieskiej”.

O podróży ks. Franciszka Hodura do Watykanu tak pisze bp dr Wiktor Wysoczański w artykule pt. „W trosce o zachowanie depozytu wiary nowotestamentowej i podtrzymania ducha polskości”.

„Na początku 1898 roku wyjechała z Ameryki delegacja na czele z ks. F. Hodur, która miała wręczyć petycję papieżowi Leonowi XIII (1878—1903). Dokument, podpisany przez około 5000 osób, zawierał prośbę bardziej uświadomionej „części narodu polskiego w Ameryce” o przeprowadzenie „pewnych reform w zarządzie Kościoła”: odnosiło się to do parafii polskich. Prośbę ujęto w cztery punkty, w których scrantonianie prosili o: — przedstawiciela Polaka w gremium biskupów Stanów Zjednoczonych, który by był zarazem pośrednikiem między ludem polskim, Stolicą Apostolską a biskupem amerykańskim i orędownikiem spraw tego ludu;

— zgodę na unarodowienie własności kościelnych, tj. by majątki kościołów polskich były zapisane w sądach na delegatów wybranych przez parafię;

— przyznanie ludowi tych praw, które ma w Europie tzw. kollator, czyli patron, a mianowicie, by przy obsadzeniu probostwa biskup zwracał się do wiernych o zgodę na obsadę danego księdza;

— prowadzenie administracji finansowej kościoła przez ludzi wybranych z grona parafian, a przez księdza uznanych („Straż” z 2 lipca 1898 roku).

Dokument kończy się wręcz wzruszającą deklaracją scrantonian, świadcząca o ich głębokiej wierze i przywiązaniu do katolicyzmu. Poza wysuniętymi postulatami, które „nie dotyczą (...) dogmatów wiary ani ustroju św. Rzymskokatolickiego Kościoła”, poddają się oni z „całym zaufaniem kierownictwu św. Matki Kościoła”, przyrzekają „żyć i umierać jako wierni wyznawcy” tegoż Kościoła.

Wspomniana delegacja przybyła najpierw do Polski celem zasięgnięcia rady u znanego trybuna ludowego w Galicji, ks. S. Stojałowskiego, co do sposobu postępowania w Rzymie. Z Polski delegacja udała się do Rzymu z pismami polecającymi (od ks. S. Stojałowskiego) do ks. Gormiera i kard. Vanutello. Po wielu zabiegach ks. Hodur został przyjęty przez prefekta Kongregacji Rozkrzewienia Wiary, kard. M.H. Ledóchowskiego, byłego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Petycja została odrzucona, gdyż — jak powiedział kard. Ledóchowski — „Stolica święta nie będzie ustanawiała osobnych praw ani osobnych biskupów dla garści katolików polskiego pochodzenia w Ameryce, skazanej na niezawodne wynarodowienie pośród kulturalnego i bogatego otoczenia..”.

Odpowiedź pisemna na petycję przyszła jesienią 1898 r. za pośrednictwem legata papieskiego w Waszyngtonie Martinello. Scrantonianie zapoznali się z nią na



Katedra polskokatolicka pw. Świętego Ducha w Warszawie

zgrupowaniu parafialnym w dniu 18 września 1898 r. Zgromadzeni w liczbie około 400 osób jednomyślnie postanowili wówczas nie wracać pod jurysdykcję biskupów rzymskokatolickich, lecz „oddać się z głęboką mocną wiarą pod opiekę Bożą”.

Ks. F. Hodur postanowienie to zakomunikował biskupom w O'Harze i M. J. Hobanowi w Scranton oraz legatowi Martinellemu, czego następstwem była klątwa. W dniu 2 października 1898 r. w niedzielę, we wszystkich kościołach Diecezji Scrantonkiej odczytano z ambony tekst ekskomunikacji rzuconej na ks. F. Hodura i skupionych wokół niego wiernych. Tekst klątwy odczytał z ambony także ks. F. Hodur i po obszernym komentarzu, w obecności około 800 wiernych, spalił pismo, a popiół kazał kościelnemu wrzucić do potoku płynącego poniżej Skałki, na której stoi kościół pw. św. Stanisława.

Pomimo tych wydarzeń, ks. F. Hodur i skupieni wokół niego wierni podejmowali próby pojednania z biskupem diecezjalnym, a nawet dyskutowano warunki i tryb powrotu ekskomunikowanych na łono Kościoła Rzymskokatolickiego. Pisał o tym ks. F. Hodur: „Spróbowaliśmy wszystkich instancji, pukaliśmy wszędzie, żeby nie powiedziano, że w zapamiętaniu ciągniemy lud polski do rewolucji...”, ale nam wszędzie powiedziano: Polacy muszą się stosować do praw istniejących”. Toteż na zgromadzeniu parafialnym w dniu 16 grudnia 1900 r. w Scranton, po zapoznaniu się z warunkami stawianymi przez stronę rzymskokatolicką, jednomyślnie postanowiono „już nigdy więcej nie pukać o zgodę do biskupów amerykańskich”. Część zgromadzonych wyraziła też opinię, że scrantonianie mogą uznać nad sobą „tylko polskiego biskupa”.

Bp dr Wiktor Wysoczański tak pisze o początkach PNKK: „(...) Młoda wspólnota wyznaniowa ukonstytuowała się jako Kościół dopiero po I Synodzie Generalnym w Scranton, we wrześniu 1904 r. Jednakże Organizator Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w pełni zdawał sobie sprawę z tego, że młody ruch religijny, któremu przewodził, będzie miał szansę szerokiego rozwoju, jeśli na jego czele stanie duchowy — prawomocnie wybrany i wykonsekrowany na biskupa. W USA działali już dwaj inni biskupi niezależni: Antoni Kozłowski (†1907) w Chicago, któremu sakrę biskupią nadał bis-

kup starokatolicki Edward Herzog w Bernie w listopadzie 1897 r. oraz Stefan Kamiński (†1911), konsekrowany przez organizatora licznych quasi — starokatolickich ugrupowań religijnych — Józefa Rene Vilatte'a. Zarówno bp A. Kozłowski, jak i bp S. Kamiński początkowo byli nastawieni negatywnie do ośrodka scrantonkiego. Organizator PNKK zaś uważał ich za zdrajców sprawy polskiej (por. np. „Straż” z 4 września i 20 listopada 1897 r.). Mimo tego zdecydował się wysłać w styczniu 1899 r. swego delegata do Holandii, który miał zapoznać biskupów starokatolickich z sytuacją religijną, w jakiej znajdują się Polacy osiedleni w USA. Przedstawiono biskupom starokatolickim memoriał (wraz z petycjami parafii w Pricebergu, Filadelfii i Passaio) miał ich przekonać o konieczności udzielenia sakry biskupiej ks. F. Hodurowi. Później doszły dalsze petycje ze Scranton, Plymouth i Fall River, lecz nie odniosły one pożądanego skutku. Biskupi starokatolicki nie podzielali poglądu wspólnoty scrantonkiej, co do potrzeby ustanowienia drugiego biskupa starokatolickiego w USA. Również późniejsze zabiegi — nawet przy poparciu bpa A. Kozłowskiego — skończyły się fiaskiem. Jak wynika z dokumentów (zachowanych w Arcybiskupim Archiwum w Utrechcie oraz w Archiwum w Bonn) na sprawę tę ogromny wpływ miał zwierzchnik Kościoła Starokatolickiego w Niemczech, bp Theodor Weber, który podówczas nie był przychylnie nastawiony do osoby ks. F. Hodura.

I tak możliwość otrzymania sakry biskupiej przez ks. F. Hodura zaistniała dopiero po formalnym wyborze go na biskupa na I Synodzie Generalnym w Scranton w 1904 roku i po śmierci bpa A. Kozłowskiego w styczniu 1907 r. Uroczystość konsekracji odbyła się w Utrechcie w dniu 29 września 1907. w starokatolickiej katedrze pw. św. Gertrudy. Nastąpiła ona — jak wynika z protokołu sesji MKBS z 2 września 1907 r. — po uprzednim podpisaniu przez elekta F. Hodura Deklaracji Utrechckiej i Umowy Biskupów Starokatolickich z 24 września 1889 r.

Bp. F. Hodur służył Polskiemu Narodowemu Kościołowi Katolickiemu w USA do ostatnich chwil swego życia. Zmarł 16 lutego 1953 r.

Wizyta delegacji Rady do Spraw Religii ZSRR

Na zaproszenie ministra, kierownika Urzędu do Spraw Wyznań, prof. dra Adama Łopatki, przebywała w Polsce delegacja Rady do Spraw Religii przy Radzie Ministrów ZSRR z przewodniczącym Rady, Konstantym Charczewem.

Delegacja odbyła rozmowy z kierownikiem Urzędu do Spraw Wyznań, spotkała się z Prezydium Polskiej Rady Ekumenicznej i z kierownikami świeckich stowarzyszeń wyznaniowych. Delegacja złożyła także wizytę w Zarządzie Głównym Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików oraz w Instytucie Wydawniczym im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

Wizyta delegacji w Instytucie Wydawniczym im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.



W Zarządzie Głównym Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików. Od lewej stoją: prezes ZG STPK — bp dr hab. Wiktor Wysoczański; przewodniczący Rady do Spraw Religii ZSRR — Konstanty Charczew; zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego — bp Tadeusz R. Majewski; kierownik Urzędu do Spraw Wyznań — minister prof. dr Adam Łopatka; dyrektor w Urzędzie do Spraw Wyznań — dr Henryk Leszyna.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (1023)

w opracowaniu bpa M. RODEGO

U

Unioniści — to nazwa członków unii protestanckiej, mianowicie luteranów i reformowanych (→ reformowani), zawartej w 1817 roku po raz pierwszy w ówczesnych tzw. Prusach.

Unitarianie — (łac. unitas = jednostka, jedność) — to członkowie grup wyznaniowych w przeszłości i współcześnie odrzucających naukę o trójosobowym w jedyności Boga, albo o trójosobowości w jedyności Boga, a opowiadających się tylko za jednoosobowością Boga (→ antytrynitarze). W W. Brytanii zorganizowali się oni pod przywództwem Johna Biddl'a (ur. 1615, zm. 1662) i Th. Lindsey'a (ur. 1723 zm. 1808), tworząc samodzielną nową gminę kościelną; analogiczne gminy powstały następnie i powstawały ciągle nowe w innych miejscowościach W. Brytanii i w innych krajach Europy i Ameryki Północnej, a w 1900 roku w wyniku wzajemnych układów nastąpiło porozumienie między unitarianami w skali międzynarodowej, która to pierwotna międzynarodowa organizacja unitarian w 1930 roku przybrała nową międzynarodową formę organizacyjną i nazwę *International Association for Liberal Christianity and Religious Freedom*. Łącznie liczbę unitarian współcześnie oblicza się na kilkaset tysięcy wyznawców.

W początkach swoich unitarianie byli pod wpływem → braci polskich, a w Polsce unitarianie, antytrynitarze, bracia polscy — są znani przede wszystkim jako → socynianie (→ Socyn). Ogół poglądów unitarian czy unitariuszy zwie się unitarianizmem. Dzisiaj coraz częściej jego istotę widzi się nie tylko w antytrynitarystycznym, ale w znaczącej mierze przesunięciu doktrynalne i pragmatyczne z teologii na etykę, z obiektywnie pojętej religii, a więc teoreligii, na jej humanizację, oraz w bardzo szeroko pojmowanej i reklamowanej tolerancji religijnej i w ogóle światopoglądowej.

Uniwersaliści — (łac. universum = wszechświat) — to nazwa członków pewnego odłamu protestanckiego, przede wszystkim w Kanadzie i w USA, którzy, odrzucając wieczność → piekła, wierzą i głoszą, iż nastąpi kiedyś ostatecznie powszechne zbawienie wszystkich, również duchów złych-szatanów, i wszyscy i wszystko, już zbawieni i potępieni, cały świat wróci do stanu pierwotnego, wszyscy wrócą do stanu zagubionej niewinności i pełnej wzajemnej z Bogiem harmonii (→ apokatastazis).

Uniwersalizm — (łac. universalis = powszechny) — w filozofii i teologii oznacza powszechność jednak w sensie prawdziwości i otwartości zarazem prawdy czy instytucji dla wszystkich, np. powszechność i otwartość prawd religii chrześcijańskiej, katolickiej, dla wszystkich, Kościoła dla wszystkich i wobec wszystkich, więc Kościoła powszechnego, uniwersalnego. Ścisłej — mówi się też o uniwersalizmie etycznym i to w tym znaczeniu, że dobro ogólne, dobro powszechne, uniwersalne, jest najwyższą normą moralności (→ utylityzm). Przeciwwstawieniem uniwersalizmu jest → indywidualizm.

Upaniszady — (sansk. = posiedzenie tajne, poufne; tajemnice) — to święte księgi staroindyjskie, będące ostatnią częścią → Wed. Najstarszych upaniszad, zwanych przedbuddyzm, jest 14 i powstały one, napisane przez natchnionych autorów, w X — VII w. przed Chr., później liczba ta znacznie się powiększa i przyjmuje się liczbę tekstów nie większą niż 108 w zbiorze dotąd najbardziej znanym. Stara filozofia hinduska czy indyjska maśl religijną swoje podstawy i główne zasady wywodzą właśnie z upaniszad, oczywiście w ogóle z → Wed (→ wedyzm).

Urban Wincenty — (ur. 1911, zm. 1983) — ks. rzymskokatol., święcenia kapłańskie otrzymał w 1936 roku, od 1959

„The Lira Singers” z Chicago

Zaprezentujemy dziś naszym Czytelnikom polską „Lirę” z Chicago — chór, który obchodził niedawno 20 rocznicę swego powstania. Występuje najczęściej w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w swoim rodzinnym Chicago, ale i w Polsce ma swych zwolenników. Zespół uczestniczył w dwu międzynarodowych festiwalach w Koszalinie i Zielonej Górze, zajmując czołowe lokaty, gościł na tournée po Polsce, występując w głównych miastach kraju — Warszawie, Gdańsku, Poznaniu, Częstochowie, Krakowie.

W repertuarze „Liry” znalazło się wiele różnych gatunków muzyki polskiej — zarówno klasycznej, jak współczesnej, ludowej czy kościelnej. A więc — obok „Bogurodzicy” czy „Gaude Mater Polonia” — można usłyszeć „Mity” Karola Szymanowskiego, „Znasz li ten kraj” Moniuszki czy pieśni do poezji Kazimierzy Iłakowiczówny. Obok „Życzenia” Chopina pieśni Nowowiejskiego, koledy i pastorałki oraz bogate zestawy pieśni i przyspiewek ludowych z różnych regionów Polski. Wielu kompozytorów skomponowało też utwory specjalnie dla zespołu. Jest wśród nich m. in. pani Irena Pfeiffer z Krakowa, która z zespołem współpracuje już kilkanaście lat, wzbogacając skarbiec polskiej muzyki dostępnej w Ameryce. Zespół planuje włączyć do swojego repertuaru muzykę dawnego Gdańska, arie z „Halki” i „Straszego Dworu”.

„Lira” wydała dwie płyty. Muzykę polską popularyzuje przed wielomilionową publicznością amerykańskiego radia i telewizji, a także koncertując w stanach: Indiana, Ohio,



Kierowniczka zespołu pani Lucyna Migala przyjmuje gratulacje od zastępcy sekretarza generalnego Towarzystwa „Polonia”, Andrzeja Pieniaka

Michigan, Wisconsin, Pensylwania i New York.

Założycielkami „Liry” były — nieżyjąca już — Alice Stephens i Lucyna Migala. Ta pierwsza — znana nauczycielka wokalistyki, dyrektorka wydziału wokalnego w Chicago Conservatory College, a także dyrygent chóru Litewskiej Opery w tym mieście — poświęciła 15 lat pracy zespołowi jako jego dyrygent i dyrektor muzyczny. Lucyna Migala — dziennikarka radiowo — telewizyjna — jest obecnie kierownikiem zespołu i organizatorem jego koncertów, a także narratorem i konferansjerem. Przez 13 lat pracowała jako producent i reporter w telewizji. Prowadzi etniczną rozgłośnię radiową, nadającą pro-

Zespół „Lira” podczas swych występów w Warszawie

gram w 12 językach. Jest także działaczką Związku Polek w Ameryce. Uczestniczy w pracach chicagowskiej Fundacji Kościuszkowskiej, przewodniczy dorocznym konkursom chopinowskim na terenie Środkowego Zachodu USA. Ma dostatecznie dużo energii, aby zasiadać w Stanowej Radzie Humanistyki i prezesować Radzie Sztuk Pięknych, a do tego prowadzić chór „The Lira Singers”. Ojciec pani Lucyny dr Józef Migala — zasłużony działacz polonijny — jest właścicielem radiostacji etnicznej i twórcą kilku popularnych programów radiowych dla Polonii i o Polonii amerykańskiej, założycielem pierwszej radiowej szkoły języka polskiego, członkiem Macierzy Polskiej USA i wielu innych organizacji polonijnych.

Wszystkie członkinie zespołu mają solidne przygotowanie muzyczne, doskonałe wyczuwanie śpiewu chóralnego. Jedynie pan Robert Beazley — kierownik muzyczny i dyrygent zespołu jest rodowitym Amerykaninem. Nigdy przedtem — stwierdził pan Beazley — nie interesował się sprawami etnicznymi, a o Polsce — przyznaje — niewiele wiedział. Kiedyś, przypadkowo, znalazłem się na koncercie „Liry”. Byłem zaskoczony wysokim poziomem tego zespołu i jego zaangażowaniem. Sam musiałem nauczyć się polskiej muzyki. Jestem nią zachwycony, zwłaszcza muzyką chóralną. Uważam że trzeba wykonywać ją jak najczęściej w Stanach Zjednoczonych”.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (1024)

roku biskup sufragan archidiecezji wrocławskiej, uczonego historyk i badacz dziejów Kościoła, profesor w Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu, od 1972 r. w Akademii Katolickiej w Warszawie, od 1982 r. profesor zwyczajny. Jest autorem wielu prac, a wśród nich o Biskupie wrocławskim Sedlnickim z XIX w.; nadto napisał i wydał cenne dzieła: *Dzieje Archidiecezji Wrocławskiej*, oraz na temat odbudowy życia religijnego i polskiej administracji kościelnej na Dolnym Śląsku po drugiej wojnie światowej; przygotował też do druku i uzupełnił dzieło — ks. prof. dr. J. Umińskiego *Historia Kościoła* (2 tomy), którego to dzieła IV wydanie ukazało się w 1959/60 roku.

Urbi et orbi — (łac. = miastu i światu) — to formuła łacińska, używana w słownictwie i praktyce watykańskiej, a oznaczająca, że niektóre pisma i działania papieża odnoszą się nie tylko do miasta Rzymu ale do całego świata katolickiego, zwłaszcza zaś dotyczy ona udzielanego przez papieża w pewne uroczystości kościelne i wyjątkowo ważne okoliczności swojego błogosławieństwa, błogosławieństwa nie tylko katolikom Rzymu, ale Rzymowi i całemu światu.

Uroczyste śluby zakonne — składają w przepisany sposób według ustalonego rytuału zakonnicy i zakonnice w zakonach ścisłych (→ zakony). Wyróżnia się śluby proste i uroczyste (→ ślub). Uroczyste śluby od prostych, zwykłych, różnią się przede wszystkim tym, że składa się je na zawsze, a więc na wieki w sensie oczywiście teologicznym, stąd zwane też są wieczystymi, nie mogą być odwołane, a tzw. akty im przeciwne są w obszarach obowiązywania prawa kanonicznego ze swej istoty nieważne, np. uroczysty czyli wieczysty ślub ubóstwa powoduje, iż składający go nie może według prawa kościelnego (rzymskokatolickiego) być właścicielem, czyli nie może mieć i nie ma prawa własności, nie może niczego na własność posiadać, natomiast

zaw. prosty ślub ubóstwa to prawo własności ogranicza ale w całości i na zawsze nie znosi.

Urszulanki — to członkinie — siostry zakonu św. Urszuli, założonego w 1535 roku jako stowarzyszenie religijne, a w 1572 roku jako → zakon, a więc już z obowiązkiem wspólnego zamieszkania i złożenia ślubów zakonnych (→ ślub), przez późniejszą świętą, Anielę Merici; w pełni ścisłą regułą zakon przyjął w 1612 roku. Poza kulturowaniem osobistego życia religijnego dla własnego i społecznego, ogólnoludzkiego pożytku, głównym celem zakonu było i jest katolickie, religijne, wychowywanie i kształcenie dziewcząt. W Polsce osiedliły się Urszulanki w 1857 roku, a pierwszą ich miejscowością w Polsce, w której zorganizowały swój pierwszy dom, był Poznań. Siostry tego zakonu noszą czarne habity i stąd zostały w Polsce nazwane urszulankami czarnymi, aby je można było łatwo odróżnić od polskich urszulanek, które noszą habity szare i zostały dlatego nazwane urszulankami szarymi; założycielką polskiego zgromadzenia zakonnego Sióstr Urszulanek Najśw. Serca Jezusa Konającego jest matka Urszula Ledóchowska (u. 1865, zm. 1939). Zakon został założony w 1923 roku w Pniewach (woj. poznańskie, archidiecezja poznańska). Poza własnym uświęcaniem się i spraszaniem błogosławieństwa Bożego dla ludzkości głównym celem zakonu sióstr szarych urszulanek była i jest praca wychowawcza, dydaktyczna i opiekuńcza nad dziećmi i młodzieżą i przygotowywanie jej do uczciwego i pożytecznego życia rodzinnego, społecznego, obywatelskiego.

Usprawiedliwienie — to stan duchowy człowieka, który ze stanu po grzechu pierwotnym (→ grzech pierwotny) dzięki uprzedzającej łasce Bożej i własnej z nią współpracy przechodzi do stanu łaski i dzięki zasługom Jezusa Chry-

POKARM W ZIEMI ŚWIĘTEJ

„Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno po całej ziemi, i wszelkie drzewo, którego owoc ma w sobie nasienie; dla was będą one pokarmem” — mówi Pan Adamowi i Ewie szóstego dnia stworzenia (Rdz 1,29). W słowach, którymi Bóg wskazał pierwszym ludziom płody ziemi jako główne ich pożywienie, znajdujemy też odbicie znaczenia jakie uprawa ziemi miała dla Izraelitów po zajęciu Ziemi Obiecanej. Nie spodziewajmy się rewelacji, gdy mowa o sprawach kulinarnych w Ziemi Świętej, bo dawna Palestyna warunkami życia nie różniła się wielce od innych krajów biskowschodnich — Egiptu czy Mezopotamii. Mimo to kultura żydowska i w tej dziedzinie wytworzyła własne obyczaje, na które warto zwrócić uwagę.

Pismo święte wielokrotnie potwierdza urodzajność ziem dawnej Palestyny, mocno zniweczoną wskutek wielowiekowych spustoszeń. Kultura upraw roślinnych była wysoka, bowiem Izraelici zapożyczyli od swych sąsiadów i znali zarówno nawożenie jak i nawodnienie (irygację) gleby. Tzw. „rok szabatowy” służył także celom praktycznym: co siedem lat dawano odpocząnek glebie, pozostawiając użytkowany grunt ugorem. Stosowano też tarasową uprawę ziemi dla uniknięcia ubytków spłukiwanego wodą gruntu, często strzeżonego murem ze strażnicami.

Podstawą pożywienia było więc zrazu nie mięso (którego najdawniejsze prawa jeść nie wzbraniały ani nie zalecały), ale produkty zbożowe. Prawo żydowskie nie zabraniało przechodniom zbierać z cudzego pola ziaren dla zaspokojenia głodu, lecz zarazem pozwalało właścicielowi korzystać z plonów zbóż dopiero po złożeniu pierwocin (pierwszego snopa) Panu w ofierze.

Pierwotnie spożywano zapewne ziarno w stanie surowym lub tylko podprażone. Sceny ewangeliczne świadczą, że czyniono tak i później; zresztą łuskanie i gryzienie różnych ziaren i pestek do dziś jest zajęciem bardzo powszechnym w krajach Bliskiego Wschodu. Niekiedy ziarna zbożowe tłuczono, suszono i zaprawiano oliwą. Znana jest potrawa przyrządzana z prażonej na oleju mąki jęczmiennej.

Na mąkę mielono ziarna w ręcznych żarnach kamiennych — trzeba zaznaczyć, iż był to jedyny sprzęt domowy, którego nie wolno było skonfiskować za długi. Płaski i cienki chleb wypiekano z ciasta nie kwaszonego (matsoth) lub zakwaszonego (chomets). Był on podobny do podpłomyków i stąd mówi się zazwyczaj o jego „łamaniu”, a nie krajaniu. Do różnych placeków dodawano zapewne oliwy, miodu i owoców. Wiemy też, że w czasach Jezusa ubodzy żywili się prażoną szarańczą.

Poza pokarmami mącznymi ważne miejsce w kuchni żydowskiej zajmowały mleczne. Produkty — słodkie mleko, ser, twaróg, śmietana, masło — uzyskiwano z hodowli krów, kóz i owiec. Pamiętajmy, że wcześniej — jako prymitywni koczownicy, Hebrajczycy bardziej zajmowali się



Kamienne żarna używane dawniej i dziś na Bliskim Wschodzie



Tłoczenie wina w dawnej Palestynie

hodowlą niż uprawą roli. Ilość posiadanych sztuk bydła bardzo długo świadczyła o zamożności, a zawód pasterza godny był poszanowania. Trudno jednak sądzić, że tak liczne trzody utrzymywano jedynie dla pozyskiwania mleka.

Po potopie Bóg wyraźnie dozwolił jeść pokarmy mięsne z wyjątkiem krwi zwierzęcej. Mimo to, mięso jadano początkowo tylko w dni świąteczne lub przy podejmowaniu dostojnego gościa. Później stało się ono potrawą codzienną — zwłaszcza u bogatych. Czytamy, że na dworze króla Salomona codziennie potrzebowano „dziesięć tucznych wołów i dziesięć wołów pastwiskowych oraz sto owiec oprócz jeleni, gazeli, danieli i tucznych ptactwa” (1 Krl 5,3). Hodowano zatem i „drób”, lecz jadano także ptaki dzikie (przepiórki) oraz wcześniej przeznaczone jedynie na ofiarę gołębie i synogarlice. Tymi ostatnimi handlowano w czasach Jezusa; kury też znamy dopiero z Nowego Testamentu.

Zatrzymajmy się nieco przy pokarmach mięsnych, dozwolonych wprawdzie przez Prawo Mojżeszowe, lecz z pewnymi ograniczeniami. Surowo zabronione przez Pięcioksiąg (Torę) pokarmy, to albo „nieczyste” albo też zakazane ze szczególnych względów religijnych. Izraelitom wolno było zatem jeść mięso tylko zwierząt przeżuwających i zarazem posiadających racice (wół, owca, koza, jeleń, antylopa), ale „nieczyste” był już wielbłąd, koń, pies, małpa, niedźwiedź. Do innych stworzeń tej kategorii należały drapieżne lub o odrażającym wyglądzie, bo wśród nich wymieniamy orła, sępa, sowę, pelikana, nietoperza, wszystkie płazy i owady (z wyjątkiem szarańczy). Natomiast ze względów szczególnych wzbronione było spożywanie krwi, łoju zwierząt ofiarnych i żyły biodrowej.

Bardzo lubianym pokarmem w Palestynie były ryby. Za najodpowiedniejszą porę połowów uważano noc. We wschodniej

części Jerozolimy znajdowała się Brama Rybna, co sugeruje, iż w pobliżu handlowano rybami; Pismo św. nie rozróżnia gatunków, obejmując wszystkie wspólną nazwą „dag”. Nie zapominajmy też iż to spośród rybaków Chrystus wybrał sobie kilku apostołów.

Codziennym pożywieniem Hebrajczyków były na pewno owoce: figi, daktyl, granaty, migdały. Powszechnym pokarmem były również rośliny polne i ogrodowe: soczewica, bób, czosnek, cebula, ogórki. Nóż ogrodniczy znano już od czasów Mojżesza, zaś ogród owocowo-warzywny określano używanym dotąd wyrazem „gań”. Częstokroć otoczony był on murem i miewał własny zbiornik wody (cysternę lub źródło).

Pierwszą winnicę założyć miał patriarcha Noe i po zajęciu Palestyny Izraelici też sadzili winorośl na stokach, a nawet i równinach. Zwykle w winnicy znajdowała się tłocznia do wyciskania dojrzałych gron oraz strażnica strzegąca tego majątku. Podobnie wyglądały miejsca uprawy oliwek.

Wina (jain) używano sporo, niekiedy zaprawionego aromatycznymi ziołami i korzeniami. Wedle zwyczaju, gościom podawano najpierw wina lepsze, później zaś pośledniejsze. Często pito mocny napój sfermentowany znany w Biblii pod nazwą sycery (szeker), a sporządzony z owoców daktyli, niektórych zbóż i miodu. Niekiedy jednak ponad wszystko ceniono świeżą źródlaną wodę.

Z winogron (podobnie jak z daktyli) wyrabiano też syrop. Do słodkich przysmaków należał oczywiście miód — jadany z chlebem lub używany zamiast cukru do słodzenia. W Biblii jest on zazwyczaj symbolem szczęścia i radości.

Kuchnię zajmowały się na ogół kobiety. Już w najdawniejszych czasach sztuka kulinarna musiała być niezłe rozwinięta, skoro Rebeka przygotowywała Izaakowi „smaczną potrawę” z kozłat — być może na podobieństwo dziczyzny. Do przyrządzania potraw z dawna używano oliwy i soli. Umiano wytwarzać ocet winny i z sycery. Za przyprawy służyły m.in. gorczyca, kminek, anyż, kolendra, cynamon i kapary.

Podobnie jak inne ludy starożytne, Hebrajczycy obywali się skąpym śniadaniem, nieco obfitszy spożywali drugi posiłek w południe i do syta najadali się dopiero posiłkiem wieczornym. W późniejszych epokach jednak coraz bardziej upowszechniały się w Ziemi Świętej — zwłaszcza wśród warstw wyższych — zwyczaje i pokarmy greckie i rzymskie.

(Wg ks. A. LIPiŃSKIEGO opr. K.G.)

Statut Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików stanowi, iż Towarzystwo realizuje swoje cele m.in. przez działalność opiekuńczo-socjalną dla członków i pracowników jednostek organizacyjnych Towarzystwa (Rozdz. II, § 9, pkt. 4). Ten punkt statutu w codziennej działalności Towarzystwa rozumiany jest znacznie szerzej, obejmuje bowiem również i tych, którzy odeszli już ze swoich stanowisk pracy na zasłużony odpoczynek. Pamięć o tych ludziach, docenienie pracy, którą włożyli dla rozwoju Towarzystwa i „Polkatu”, a także zrozumienie ich obecnej, niejednokrotnie bardzo ciężkiej sytuacji materialnej — skłania Towarzystwo do sprawowania nad nimi specjalnej opieki i niesienia im — w miarę możliwości — pomocy.

Jedną z form opieki nad ludźmi, będącymi już na emeryturze, są organizowane dla nich spotkania przedświąteczne, które — już od kilku lat — stały się pewną tradycją w Zarządzie Głównym Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików. Atmosfera serdeczności i zrozumienia, panująca na tego typu spotkaniach sprawia, iż z roku na rok z zaproszenia Zarządu Głównego korzysta coraz większa liczba osób.

KARTKA Z KALENDARZA

— 19 GRUDNIA 1985 R.

Spotkanie z emerytami w siedz

W ubiegłym roku, w dniu 19 grudnia, na zaproszenie Zarządu Głównego Towarzystwa, do jego siedziby przy ul. Balonowej 7 przybyło kilkudziesięciu emerytów, byłych pracowników Dyrekcji Naczelnej i Oddziału warszawskiego ZPU „Polkat” oraz Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Przybyłych gości prezes Zarządu Głównego bp dr hab. Wiktor Wysoczański serdecznie zaprosił do sali konferencyjnej w podziemiach. Tu, w świetle choinkowych lampek, przy odświętnie przybranych stołach, na których bielił się wigilijny opłatek — Prezes wygłosił do zebranych krótkie przemówienie. W swym wystąpieniu podkreślił, że Zarząd Główny Towarzystwa nie zapomni o pracy i zasługach, które wnieśli zebrani w ogólny dorobek STPK. Złożył też wszystkim jak najlepsze życzenia świąteczno-noworoczne — przede wszystkim zdrowia i uśmiechu na co dzień, pogody ducha mimo — tak ciężkich niejednokrotnie — chwil i codziennych trosk. Następnie podzielił się ze zgromadzonymi opłatkiem, i ponownie — tym razem indywidualnie, każdemu z osobna — życzył wiele błogosławieństwa Bożego i szczęścia osobistego.

Po zaśpiewaniu kilku kolęd, przy świeżych pączkach, herbacie lub kawie — jak kto wolał — popłynęły wspomnienia... O pracy, o ludziach, o zdarzeniach, które pamięta się doskonale, mimo upływu lat... A po wspominkach — niespodzianka: trochę żartu i koloru, starych piosenek i urokliwych, zawsze rozweselających gagów — z taśmoteki „video” Zarządu Głównego. Gromki śmiech, rozlegający się systematycznie na sali świadczył o tym, że nie nudził się nikt.

Nie zapomniano też wspomóc przedświąteczne portfele — choć skromny, to z pewnością każdemu bardzo potrzebny okazał się ten „zastrzyk” finansowy. Podzielono też między wszystkich przybyłych otrzymane z zagranicy dary żywnościowe — masło i ser.

Spotkanie trwało kilka godzin. Ci, którzy skorzystali z zaproszenia, odeszli zadowoleni, pogodni — dziękując Prezesowi i wszystkim paniom z Zarządu Głównego za serdeczną gościnę. Obiecowali, że w następnym roku też przyjdą z ochotą, jeżeli się nic nie zmieni...

Od siebie mogę dodać tylko, że znając stosunek Zarządu Głównego Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików na czele z jego prezesem bp. dr. hab. Wiktorem Wysoczańskim do ludzi i do pracy w ogóle — zmienić się może coś tylko na lepsze...

OBSERWATOR





bie Zarządu Głównego STPK



Z wizytą w Państwowym Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych



Dom dla przewlekle chorych w Myśliborzu: jeden z pokoi, gdzie każdy czuje się jak u siebie

Myślibórz (woj. gorzowskie) to dziś 13-tygodniowe miasto położone nad rzeką Myślą oraz ponad 600-hektarowym Jeziorem Myśliborskim. To uroczym położone miasto cieszy się latem szczególnym powodzeniem wśród turystów. Tutaj też w roku 1974 został zbudowany Państwowy Dom Pomocy Społecznej dla Dorosłych, jeden z dwu na terenie województwa gorzowskiego. Od 1980 roku z ojcowską troską kieruje nim dr med. Kazimierz Wołoszyn.

Dom w Myśliborzu jest przeznaczony dla osób dorosłych obojga płci, dotkniętych przewlekłą chorobą lub ciężkim kalectwem fizycznym, których stan zdrowia nie wymaga leczenia szpitalnego, natomiast uzasadnia potrzebę stałej opieki pielęgniarskiej i lekarskiej.

Oczekując spotkania z dyrektorem Wołoszynie rozmawiam na długim korytarzu z jedną z pensjonariuszek.

— Mieszkam tu od siedmiu lat — mówi 76-letnia niewiasta. Życie wyjątkowo mnie doświadczyło. Miałam gospodarstwo rolne, bardzo dobrego męża, który został śmiertelnie strącony przez byka. Za bezcen zlikwidowałam gospodarstwo, wyjechałam do miasta, tam wyszłam powtórnie za mąż, ale mój drugi mąż też szybko zmarł, na raka. Nie mogłam znieść dłużej przerażającej samotności, która jest gorsza od choroby. Tutaj czuje się dobrze, mam wszystko zapewnione, co potrzebne do życia człowiekowi staremu i zmęczonemu trudami życia.

W myśliborskim Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych przebywa aktualnie 86 mężczyzn i 102 kobiety. Najstarsza mieszkanka liczy sobie 94 lata, zaś najmłodszym pensjonariuszem jest 30-letni mężczyzna. Większość pochodzi ze wsi. Jest tu nawet siedem małżeństw, w tym jedno, które tu się poznało i pobrało. Małżeństwa zajmują osobne dwuosobowe pokoje.

Jedna z pielęgniarek słusznie zauważa:

— Marzeniem naszym i naszych podopiecznych jest, aby każdy mieszkaniec miał swój pokój. Nie wyobraża pan sobie nawet, ile scysji, zatargów i rozmaitych nieporozumień wywołuje wspólne mieszkanie kilku osób o tak różnych osobowościach, przeżyciach, ciępieniach i stopniu inteligencji w jednej izbie.

Oto co o mieszkańcach domu mówi doktor Wołoszyn:

— Skarb Państwa utrzymuje 41 osób, które w życiu nigdy zarobkowo nie pracowały. Pięć osób jest alimentowanych przez własne rodziny. Wszyscy inni otrzymują emerytury bądź renty, które zabiera Dom na poczet całkowitego utrzymania swoich pensjonariuszy. Każdy natomiast otrzymuje co miesiąc 2.500 zł. zaś osoby utrzymywane

przez Skarb Państwa otrzymują kieszonkowe mniejsze: 500 zł.

Większość naszych podopiecznych cierpi na miążdżycę, pewną ilość dotykają choroby psychiczne związane ze starością, nie brakuje też schorzeń układu oddechowego i reumatycznych. Najwięcej kłopotów sprawiają nam alkoholicy, którzy powinni mieć osobne domy pomocy społecznej. W liczbie 188 osób w rozmaity sposób upośledzonych mamy 61 kalek, 14 osób stale leży, 26 porusza się tylko przy pomocy wózka inwalidzkiego, zaś 42 tylko za pomocą tzw. balkoniku. 5 osób posiada wózki motorowe. Mamymy nawet 6 głuchoniemych i 9 niewidomych.

Pragnę, aby każdy tu czuł się, jak u siebie w domu, jak w swojej rodzinie, a może nawet jeszcze lepiej. Chciałabym być dla nich jak ojciec, jak ktoś bliski, bo wiem, że serca i uczucia mało im w życiu okazywano. To jest najlepszy lek, także w ręku lekarza: dobre słowo, serdeczny gest, przytulenie kogoś, kto przez całe życie był poniewierany, niekochany, odrzucany przez najbliższych. Stressowe życie przyspiesza proces starzenia się i przybliża śmierć. Poza terapią serdecznego słowa całego naszego stuosobowego personelu stosuję też terapię zajęciową. Gorąco zachęcamy każdego mieszkańca Domu do wykonywania jakichkolwiek czynności fizycznych. I tak np. dziesięciu naszych pensjonariuszy całe lato pracuje w ogrodzie, jeden prowadzi warsztat szewski na potrzeby naszego Domu, inni zajmują się wyszywaniem, malowaniem, gotowaniem, haftowaniem.

Są tacy, szczególnie ze środowiska wiejskiego, dla których pobyt w Domu Pomocy Społecznej jest prawdziwym rajem w stosunku do dotychczasowego trybu życia: tam mieszkali w komórkach i bliscy dawali im tylko chleb i mleko, tutaj mają, doskonałe warunki życia, ciepłe pokoje, gotowane posiłki i stałą opiekę lekarsko-pielęgniarską.

W jednym z pokoi spotykam młodego człowieka, pana Bogusława Romaka, który osiem lat temu uległ wypadkowi. Upadł mianowicie do tyłu z jadącego ciągnika i doznał złamania kręgosłupa. Spowodowało to niewład wszystkich czterech kończyn. Ten młody a tak boleśnie doświadczony człowiek mimo wszystko jest optymistycznie nastawiony do życia.

— Gdyby nie ten Dom, nie praca tych pielęgniarek i salowych, a przede wszystkim niestrudzonego przyjaciela ludzi cierpiących, doktora Wołoszyna, nie miałbym szans na dalsze takie życie.

— Czy ma Pan rodzinę? — wtrącam.

— Mam rodziców, którzy pracują jeszcze czynnie zawodowo, chętnie mnie odwiedzają, ale przecież nie byłiby w stanie zapewnić mi, leżącemu na tym ortopedycznym, specjalnym łóżku całodobowej opieki. Brak

mi słów wdzięczności dla całego myśliborskiego personelu.

Na korytarzu spotykam seniorkę pensjonariuszy Domu 94-letnią Annę Gładkowską, która tu mieszka od początku istnienia placówki.

— Mój mąż umarł na tyfus 44 lata temu — mówi pani Anna. Był kolejjarzem. Mam siedmiu synów. Utrzymują ze mną stały kontakt. Byłam niedawno na weselu wnuka. Wolę tu przebywać, bo tu spokój i przemiła atmosfera.

Wchodzę do jeszcze jednego pokoju, małżeńskiego, państwa Marii i Stanisława Kowalskich, którzy w tym Domu poznali się i zawarli małżeństwo w roku 1979. Oboje są inwalidami, ale potrafią sobie nawzajem służyć z ogromnym poświęceniem i miłością, która sprawdza się właśnie wtedy, kiedy życie obojga ludzi jest tak trudne.

Dr Wołoszyn zaznacza:

— Niech pan koniecznie zanotuje, że jest to para małżeńska bardzo się kochająca, że mogą stanowić wzór dla młodych, zdrowych ludzi, jak należy pojmować małżeństwo i rodzinę. Pani Maria, pomimo, że porusza się na wózku, potrafi świetnie gotować, pan Stanisław jest bardzo czynnym Przewodniczącym Rady Mieszkańców Domu, dokonuje licznych zakupów i usług na rzecz Domu.

W myśliborskim Domu dla przewlekle chorych jest duża śmiertelność (45 zgonów rocznie), co wynika stąd, że mieszkają tu przeważnie ludzie starzy, schorowani, wielu tęskniących do swoich rodzinnych stron.

— Czy rodziny odwiedzają Pana podopiecznych? — pytam dyrektora Wołoszyna, gdy schodzimy ponownie do gabinetu dyrektorskiego.

— Raczej rzadko, coraz rzadziej. Ostatnio na święta Bożego Narodzenia tylko sześciu pensjonariuszy zostało zabranych do swoich rodzin, a przecież rodziny i krewnych ma 152 mieszkańców naszego zakładu.

Jedna z pielęgniarek opowiedziała mi, jak wyglądała tegoroczna wizyta Świętego Mikołaja tuż przed Wigilią. Każdy mieszkaniec domu otrzymał paczkę ze słodyczami, a kilku najbardziej niesfornych otrzymało... różgi, co zostało przyjęte życzliwie i z humorem. Najbardziej wzruszająca była chwila, gdy doktor Wołoszyn podchodził z opłatkiem do każdego i każdemu osobiście składał serdeczne życzenia.

Kazimierz Wołoszyn odprowadzając mnie podkreśla jeszcze:

— Zawsze twierdzę, że człowiek, szczególnie stary i schorowany najlepiej czuje się wśród rodziny, w swoich stronach. Nasz Dom jest więc potrzebny tym, których już nikt z najbliższych nie kocha, którzy już nie mają nikogo z rodziny.

BOGDAN NOWAK

Z zagadnień dogmatyki katolickiej

Bóg w trzech Osobach

Zaczęliśmy przed tygodniem omawiać największą tajemnicę naszej wiary. Stanowi ją Prawda o istnieniu w Bogu trzech Osób boskich. Znamy ją jedynie dzięki dobroci Pana niebios, który uważał za stosowne objawić nam głębię swego Bożego życia.

Tajemnica ta, ze względu na to, że przekracza możliwości poznawcze naszego rozumu, jest przed wszystkim przedmiotem wiary. Niektórzy uczeni katolicyści uważają, że nie powinno się o niej długo rozmyślać, a jeszcze mniej dyskutować, bo przecież nie jesteśmy w stanie pojąć jej głębi, a zatem możemy łatwo zbłądzić.

To prawda, że wszystko, co orzekamy rozumem o Bogu jest nacechowane naszą nieświadomością i ułomnością, że bliższe jest naszej, nie Boskiej naturze, ale chyba Stwórca wie dobrze o naszym ograniczeniu. Święty Augustyn nie zraził się trudnościami na drodze poznawczej, lecz zamysł napisania dzieła o Trójcy Przenajświętszej doprowadził do końca z ogromnym pożytkiem dla chrześcijaństwa.

Trud wyjaśnienia, czy raczej wykładu tej Tajemnicy podjęły pierwsze sobory ekumeniczne, bo Kościół głosił dogmat o Bogu w Trójcy Osób od początku swego istnienia.

I tak na Soborze Nicejskim, jaki odbył się w 325 roku, bronił tej prawdy, przeciwstawiając się Ariuszowi, który ośmielił się podważać boskość Drugiej Osoby Trójcy — Syna Bożego. Z kolei na Soborze w Konstantynopolu, w roku 381 potępiono naukę Macedoniusza, który znów odmawiał boskości Duchowi Świętemu.

Chrześcijaństwo, jeśli chce pozostać wierne nauce swego Mistrza, nie może za żadną cenę zrezygnować z tego dogmatu. Kto nie uznaje tej wielkiej Tajemnicy za Prawdę objawioną, nie może rościć sobie prawa do nazywania się uczniem Chrystusa. Ponieważ zaś objawiona nam wielka Tajemnica życia Boga w Trójcy Osób jest fundamentem chrześcijaństwa, postaramy się zapamiętać przynajmniej najważniejsze ustalenia dogmatyków na ten temat.

Na wstępie przypomnijmy sobie sens pojęć używanych

w wyrażaniu tegoż dogmatu, pojęć takich jak: „istota” i „osoba”. Przez „istotę” rozumie się w nauce sedno rzeczy, czyli to, dzięki czemu dany byt jest tym, czym jest. Stół jest dlatego stołem, że ma blat i podparcie. Ilość nóg stołu, kolor i kształt blatu są to już właściwie sprawy drugorzędne, i do istoty stołu nie należą. Nazywamy je przypadłościami lub przymiotami.

Na naturę człowieka składa się ciało i duch. Naturę Boga stanowi nieskończone doskonały Duch, mający życie z siebie. Można zatem powiedzieć, że istotę Bożego bytu stanowi samo istnienie, samo życie.

Osobą nazwał święty Tomasz taką istotę, która ma własny byt i świadomość własnego istnienia. „Osobą” określamy po prostu taki byt rozumny, który może o sobie powiedzieć: „To jestem ja”. Każda Osoba Trójcy Przenajświętszej ma tę samą Boską istotę i świadomość własnego „ja”. Pan Jezus powiedział: „Ja i Ojciec — Jedno jesteśmy”. Jakże prosto podkreślona jest w tej wypowiedzi jedność Istoty i odrębność osób Ojca i Syna!

Gdybyśmy chcieli znaleźć w Piśmie Świętym terminy takie jak: „Trójca”, „istota” czy „osoba”, a także wiele innych, to trudziłibyśmy się na próżno. Określenia te wprowadzili do teologii uczeni chrześcijańscy. Są to więc słowa i pojęcia utworzone przez człowieka. Jakże więc mogą wyrazić pełnię treści Wielkiej Tajemnicy? A jednak nieco ją przybliżają i skłaniają nas do tym głębszego szacunku wobec Boga, im większy ocean Bożego życia stoi otworem przed nami i czeka, byśmy napełnili jego wodą i naszym rozumem.

Syn Boży jest zrodzony przez Ojca przed wszystkimi wiekami. „Synem moim jesteś, Jam ciebie dziś zrodziłem” — mówi odwieczny Ojciec o swoim jednorodzonemu Synu. Ojciec wypowiedział Siebie w Synu i dlatego Syn Boży nosi też miano Słowa lub Mądrości. Duch Święty nie jest stworzony ani zrodzony, lecz pochodzący od miłości, jaka istnieje między Ojcem a Synem. Święty Jan Apostoł oznacza pochodzenie Ducha Bożego od Ojca: „Duch prawdy, który od Ojca pochodzi”. Nazywamy go więc Tchnieniem Ojca lub Żywą Miłością.

Szerzej zajmiemy się poszczególnymi Osobami w dalszej nauce, wszak nasz symbol wiary ma osobne artykuły, mówiące o Synu i o Duchu Świętym. Co zaś się tyczy dzisiejszego rozważania: chciałbym, aby prócz poszerzenia wiedzy zostawiło ono w sercach większą wdzięczność i powagę tak potrzebną przy wypowiedaniu słów modlitwy: „W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”.

ks. ALEKSANDER BIELEC

Dzieje cywilizacji (91)

data, okres	lokalizacja, geograficzna, polityczna	fakty, wydarzenia
1840—1902	Francja	Emil Zola, znakomity powieściopisarz francuski.
1841	Polska — Warszawa	Pierwsze wyścigi konne w Warszawie.
1841	Anglia	Założenie „Puncha”, ilustrowanego tygodnika satyryczno-humorystycznego, wydawanego w Londynie.
1842—1843	Polska	Założenie w Poznaniu przez Walentego Stefańskiego tajnego Związku Plebejuszy, organizacji skupiającej plebs miejski i chłopów. Jej celem — wywołanie powstania i wyzwolenie społeczne mas chłopskich.
1842—1910	Polska	Eliza Orzeszkowa, wybitna pisarka pozytywizmu.
1844	USA	Morse instaluje pierwszy telegraf elektryczny (Baltimore — Washington).
1844	Polska — Warszawa	Założenie Szkoły Sztuk Pięknych.
1844—1900	Niemcy	Friedrich Nietzsche, wybitny filozof niemiecki.
1845	Polska	Z ramienia Towarzystwa Demokratycznego Polskiego przybywa do Poznania Ludwik Mierosławski. Powstrzymuje zwolenników natychmiastowej walki, uważając, że kraj nie jest do niej jeszcze przygotowany. W Poznaniu powstaje Komitet Międzydzielnicowy z przedstawicielami Królestwa Polskiego, Galicji, Wolnego Miasta Krakowa i Wielkiego Księstwa Poznańskiego.
1845	Polska	Otwarcie pierwszej kolei żelaznej z Warszawy do Grodziska.
1846—1910	Polska	Maria Konopnicka, pisarka i poetka, autorka wielu książek dla dzieci.
1846 25 II	Polska	Edward Dembowski, rewolucjonista, filozof i publicysta ginie w powstaniu krakowskim, gdy na czele procesji szedł agitować chłopów za powstaniem. Jego śmierć przyspiesza upadek rewolucji.
1846	Polska	Aresztowanie Ludwika Mierosławskiego, ogłoszenie stanu wyjątkowego, załamanie akcji powstańczej.



Sylwetki:
zapalacz latarni
(II poł. XIX w.)

„Uratował Polskę od ogólnej melancholii”

Kiedy po upadku Napoleona zgasła w Rzeczpospolitej kolejna nadzieja na odzyskanie utraconej niepodległości, Aleksander Fredro liczył sobie niewiele ponad 22 lata.

Kampanii napoleońskiej doświadczył na własnej skórze. Wiosną 1809 roku wstąpił do polskiego wojska, oddając się w służbę księcia Józefa Poniatowskiego, potem zaś Adama Potockiego. Z kampanii tej, zakończonej w roku 1812 tragicznym odwrotem spod Moskwy, wyniósł Fredro stopień kapitana adiutanta-majora, będąc przydzielonym w ostatnim etapie działań do 5. pułku strzelców konnych i wraz z nimi przeprowadzając się przez Berezynę. Wkrótce potem podążył w ślad za swym bratem Sewerynem, by w latach 1813—1814 wziął udział w niemieckim rozdziale kampanii, rozgrywającym się u bram Lipska.

Powrót znad Elstery był dla Polaków najtragiczniejszą z rozegranych kart. Śmierć księcia Józefa była wręcz symbolicznym ciosem.

„Skończyło się wszystko, skończyło, ale niedobrze się skończyło” — pisał do przyjaciela Ludwika Jelskiego młody hrabia Aleksander Fredro. I nie mogły pocieszyć serca tego udęconego trudami wojaczki żołnierza-tulacza ani otrzymany w Dreźnie krzyż *Virtuti Militari*, ani francuska Legia Honorowa, przyznana mu w kwietniu 1814 roku za zasługi wojenne.

W późniejszych latach da temu wyraz w swoim „Trzy po trzy”. Nie bez żalu i goryczy zresztą.

„Gdzie jesteście zwycięskie roty? Wodowie? Gdzie jesteście potęgi, dla której strumienie krwi lały się tyle lat? Zwycięzcy i Zwyciężeni — Upokorzeni i Triumfatorzy znikli jak słońce, co zaszło przed chwilą, jak zniknie świeca, co stoi przede mną. Cóżżeście po sobie zostawili światu? — Niewiele, niewiele. — A mnie? — Co? trochę wspomnień, dwa krzyżyki i podagrę”.

Znamienne to słowa. Chciałoby się rzec, że oto przemawia przez nie całe pokolenie wpisane w chwałę i gorycz napoleońskiej doby. Gorycz tym bardziej cierpka, że wyniesiona z bitewnych pól, zrytych gradem rozrywających się szrapneli.

„Gdzie jesteś potęgi, dla której strumienie krwi lały się tyle lat” — o to nie pytał żaden ze współczesnych Fredrze romantyków. Mickiewicz widział kampanię będąc dzieckiem, Słowacki także... Nie doświadczyli tej wojny tak bardzo wprost. Może dlatego dali się ponieść bez reszty wolnościowym prądom romantyzmu?... Może dlatego bunt i sprzeciw dojrzały w nich silniej z istic młodości dzieńczą pasją?...

Kiedy w roku 1821 Mickiewicz ogłosił drukiem swoją programową „Romantyczność”, Aleksander Fredro w niedługo potem wystąpił na scenie swego „Pana Geldhaba”. Klimat, charakter a także wymowa obu utworów są oczywiście nieporównywalne, podobnie jak cała późniejsza twórczość Fredry trwająca do roku 1835, kiedy to urażony zjadliwymi napadami i krytykami niespodziewanie zamilkł jako komediopisarz.

Faktem jest, że komediopisarska twórczość Fredry na tle ówczesnych wydarzeń historycznych i literackich uważana była za wielce kontrowersyjną. Seweryn Goszczyński — zajadły krytyk Fredry — nie bez pewnych osobistych animozji zresztą, zarzucał mu na przykład zacofanie, rezygnację z walki o lepszą przyszłość, naśladownictwo komedii włoskich i francuskich, błahość intrygi i „wszystkie niedorzeczności pseudoklasycznej komedii”. Jakby nie dość było tego, zarzucał mu także obojętność wobec spraw wychowania narodu, bo oto Fredro „cnotliwych nie



Aleksander Fredro,
wg drzeworytu J. Styfięgo

nagradza, a występnych nie karze”.

Czy można jednak mieć za złe Fredrze, że nie dał się ponieść romantycznym zrywom? Wymagano od niego, by stał się pisarzem narodowym, by wiernie wyrażał treść życia narodu. Taką powierzone mu misję. Tylko że on widział i rozumiał tę misję inaczej — po swojemu. Poprzez przyzmat doświadczeń wyniesionych z lat napoleońskich widział naród i życie jakby spoza sceny, nabrał dystansu. Zjawiska i etapy historyczne dostrzegał — być może — wcześniej niż Mickiewicz, który pisząc w roku 1834 „Pana Tadeusza”, dopisał jednocześnie, jakby przeczuwając zmierzch epoki „Ostatni zajazd na Litwie”.

Fredro — sceptyk miał tę świadomość na długo przed wybuchem Powstania Listopadowego. Wiedział, że szlachta, stanowiąca dotąd treść tego narodu, zbliża się do końca swojej historycznej epopei i wraz z jej upadkiem naród innym stanie się narodem. Wiedział, a mimo to nie „rozdierał szat”, pogodzony z biegiem nieuniknionych wydarzeń.

Niewykluczone, że z tego właśnie wyrosła cała twórczość komediopisarska Fredry. Programowi romantycy nie dostrzegali w niej pierwiastka narodowego. To prawda, daleko było Fredrze do Kordianowych zmagani, ale zarzucanie mu zacofania było dużą niesprawiedliwością. Fredro uczestniczył bowiem w romantyzmie w sobie tylko właściwy sposób. Mając niepospolite uzdolnienia w zakresie komedii, a przy tym zmysł dokładnej obserwacji życia i szczególnie wrażliwość na zjawiska komiczne, potrafił stworzyć szeroki obraz polskiej społeczności ziemiańskiej i szlacheckiej.

W tym zakresie nie odchodził aż tak daleko od romantyzmu: reprezentował jego realistyczny nurt, który w literaturze polskiej na ogół ujawniał się w prozie powieściowej i komediowej, niż poezji epickiej.

Niewielu mu współczesnych potrafiło właściwie zrozumieć i ocenić jego niepowtarzalną odrębność. Zdobyli się na to jedynie Stanisław Koźmian, Wincenty Pol i Józef Ignacy Kraszewski. Wydaje się nawet, że najbliższy zrozumienia intencji i duszy Fredry był właśnie Koźmian, który pisał między innymi:

„Nie krytyczny więc pogląd na teatr Fredry chce rzucić, ale raczej wykazać, jak utworzył jego natchnione gorącą a zdrową i czerstwą miłością ojczyzny — będąc arcydziełami sztuki — stały się zarazem czynem patriotycznym.”

Komedie i postacie Fredry, będąc na wskroś polskimi, i to do tego stopnia, że —

zdaniem moim — granę być mogą tylko przez Polaków, nie stworzyły w Polsce teatru, który już przedtem istniał, ale stworzyły teatr, którego nie było”.

Oczywiście, że na tle porywającego i silnie emocjonalnego romantyzmu I połowy XIX w., komediopisarska twórczość Fredry nie szła w parze z duchem epoki, a jej „kostium” mógł wydać się obcy. Czy jednak na pewno razili? Może raczej nie odpowiadał uduchowionym i rozdartym Gustawom-Konradom, ale to jeszcze nie znaczy, że był nieprawdziwy.

Romantycy doby „burz i naporów” widzieli naród i jego sprawy poprzez własne emocje i potrzeby duszy. Obraz tego narodu kreślili w białoczarnych barwach. Nie można kwestionować, że czuli i cierpieli jak naród, i że w ich wrażliwych duszach jak w soczewce ogniskowały się nastroje najlepszych jego synów.

Fredro widział ten naród inaczej — nie tak jednoznacznie. Nie dzielił go na dobrych i złych, mając świadomość, że w każdym z ludzi zło i dobro przenika się nawzajem. Ten doskonały obserwator i znawca życia stworzył więc galerię postaci na miarę Molięra, a nawet Balzacowskiej „komedii ludzkiej”, tyle tylko, że wpisana w polskie obyczajowe i historyczne realia.

Sztydził zatem z mieszczańskimi snobizmu w „Panu Gelhabie”, zarzucał niemoralność ziemiaństwu w „Mężu i żonie”, ganił przywary szlachty w „Zemście”. Wszystko to czynił w sposób nie pozbawiony komizmu. A jednak technicznie z tej twórczości także pewna zaduma nad człowiekiem i jego niedoskonałym jestestwem. Bo kimże jest człowiek — pyta Fredro. „Człowiek zwykle jak orzech włoski — ma trzy łupiny, a jedno ziarno”: fałsz, złość, chciwość — i Ja”. Dalej zaś pisał: „Bój stworzył człowieka egoistą, a człowiek odział się w hipokryzję. Takim był, takim będzie od początku do końca świata”.

W kontekście tych słów twórczość Fredry nabiera innego znaczenia. To już nie zabawa sprowokowana zabawną farsą. To coś więcej.

Głos Fredry brzmi również jako napomnienie, choć pointa nie ma w sobie nic z natrętnego moralizatorstwa. Pod tym względem Fredro jest wyważony. On po prostu zwraca uwagę na niebezpieczeństwa, jakie kryją się w każdej istocie, a które pomnażane przez przywary wielu jednostek składają się na narodowy chaos i upadek.

System etyczny dziedziczony przez Fredrę i jego pokolenie chwiały się w posadach. Zagroził mu sam człowiek — ubrany w płaszcz fałszu, a więc zły. Gorzka jest pomimo komediowego kostiumu prawda Aleksandra Fredry. W „Zapiskach starucha” ujawnia ją z sobie tylko właściwą ostrością: „jak było, tak jest na tym świecie, ani gorzej, ani lepiej. Ruch tylko. zmiana kształtów”.

A jednak pomimo skłonności do nihilizmu, ten „smutny komediopisarz” potrafił „uratować naród od ogólnej melancholii”.

W roku 1919 napisał o tym niezwykłym twórcy Tadeusz Żeleński-Boy:

„Fredro to wielka poezja polska: nie ta zrodzona z niewoli i męki, patologiczna, wzniosła, natchniona i obłąkana w swojej monomanii, nie ta, której duch narodu zawdzięcza swoje ocalenie, ale i swoje straszliwe skrzywienie zarazem; ale ta Polska odwieczna, po której ów epizod krwi i hańby spłynął nie znacząc na niej śladów, tak spłynął bez śladu po glebie oranej przez polskiego chłopca (...) Fredro szat nad ojczyznę nie rozdierał, bo on nią był, najgłębiej może, bo bezwiednie”.

ELŻBIETA DOMAŃSKA



— Moje dziecko często moczy się w nocy, a ma już przecież siedem lat! Byłam z nim u lekarza, który wykluczył jakąkolwiek chorobę, stwierdzając jednocześnie, że jest to problem emocjonalny. Jak mam to rozumieć?

Z tego rodzaju kłopotami zwracają się matki do poradni psychologicznych. Nie następuje to bez pewnych oporów, gdyż poruszony problem zawstydza i rodziców, i dzieci. Rodzice twierdzą nawet, że dzieci są leniwe i może niekiedy złośliwe — stąd ich moczenie się w nocy.

Jednakże często zapominamy o tym, że nawet w najbardziej harmonijnie współzyskających rodzinach matka budzi i miłość, i agresję dziecka. W takich rodzinach wolno jednak dziecku swą wrogość demonstrować, wówczas matka albo zmienia swe dotychczasowe postępowanie (np. przestaje krzyczeć), albo tłumaczy, czemu się zachowuje tak, a nie inaczej. Otóż dzieci moczące się tłumią w sobie negatywne emocje — spręciw, żal albo złość — bo już są „nauczzone”, że nie wolno im przekazywać ich ani wer-

balnie, ani w inny sposób. Nie mogą dać upustu agresji, dziecko wylewa z siebie nie żal, lecz moc — i nie ma w tym żadnej jego winy. Winna jest bowiem atmosfera emocjonalna, jaka je otacza.

Podkreśliły tu jeszcze raz: uporczywe moczenie się nie zależy od woli dziecka, nie może być zatem w żadnym wypadku uznawane za przejaw jego złośliwości i podlegać karom. Matka moczącego się dziecka nie potrafi kochać dziecka bezwarunkowo, to znaczy bez względu na to, jakie ono jest. Całym postępowaniem komunikuje mu, że kocha je tylko wtedy, gdy postępuje zgodnie z jej wolą. Przy tym wyobrażenie, jakie ono powinno być, jest tak szczegółowe, że nie mieszczą się w nim ani spontaniczne reakcje dziecka, ani jakakolwiek jego autonomia. Dzieci takie są traktowane przedmiotowo, narzuca się im określony sposób bycia, na skutek czego dziecko nie może być sobą. Bywa tak, że matki chcą niepodzielnie wia- dać życiem swych dzieci, nie znając ich upodobań. Skoro o wszystkim decyduje matka, to nic dziwnego, że nie stara się ona poznać potrzeb dziecka.

Najczęściej obserwowanym przejawem zaborczej miłości matek jest źle pojmwana troska o czystość dziecka. Ich dzieci, zwykle ubrane na jasno, ciągle słyszą: tylko się nie pobrudź, nie poplam sukienki, spodenek itp. Jeśli dziecko zabrudzi coś czy zniszczy — przestaje być kochane i karze się je w różny sposób. Dziecko czuje złość i niechęć — zwłaszcza wobec rygoryzmu matki w sprawach czystości, ale tłumii w sobie negatywne emocje, ponieważ wie, że grozi mu za to kara. Swoje wewnętrzne żale uzewnętrznia mocząc się.

Dzieci moczą się jednak nie tylko na skutek zablokowania możliwości ekspresji emocji negatywnych. Mogą być też i inne przyczyny, np. wtedy, gdy dziecko chce się czuć malutkie, jak nowonarodzony braciszek, o którego jest bardzo zazdrosne i gdy chce skłonić rodziców do czulszej uwagi. Czeką ono na potwierdzenie rodzicielskiej miłości. Do nocnego moczenia się może też dojść pod wpływem szokujących przeżyć — wypadku, rozłąki z matką, pobytu w szpitalu.

W żadnym przypadku nie wolno straszyć, zawstydzać, ani karać dziecka za nieświadome moczenie się w nocy. Należy przeanalizować przyczyny takiego stanu rzeczy. Spróbujmy kochać je bezwarunkowo — a więc takim, jakie ono jest, bez naszych wygórowanych aspiracji.

(Psycholog)

Matura międzynarodowa — co to takiego?

Wielkie zainteresowanie wzbudziła zamieszczona w zasadach przyjęć na I rok studiów w roku akademickim 1986/87 informacja, iż bez egzaminu wstępnego-oprócz laureatów i finalistów olimpiad przedmiotowych-przyjmowani będą na studia także posiadacze międzynarodowej matury, otrzymanej w roku 1986.

Według wyjaśnień uzyskanych w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego okazuje się, że zapis dotyczący posiadaczy matury międzynarodowej wprowadzony został na wniosek ministra oświaty i dotyczy on bardzo nielicznej grupy osób. Rocznie może ich być kilka, czasem kilkanaście. Rzecz bowiem w tym, że od 10 już lat Ministerstwo Oświaty i Wychowania otrzymuje stypendia dla uczniów szkół średnich (3 do 6 rocznie) na kontynuowanie przez nich nauki w United World Colleges w Anglii, we Włoszech, w Kanadzie i USA.

Kwalifikacja kandydatów do tych stypendiów odbywa się za pośrednictwem kuratoriów. Kandydaci muszą spełniać określone wymagania — bardzo zresztą duże — dotyczące bardzo dobrych wyników w nauce, stanu zdrowia, odporności na rozłąkę z rodziną, muszą wykazać się też znajomością języka angielskiego itp. Następnie zdają jeszcze egzamin przed międzynarodową komisją. Egzamin maturalny uczniowie ci zdają z 6 przedmiotów przed komisjami powołanymi przez Biuro Międzynarodowej Matury w trybie testowym. Wymagania egzaminacyjne są bardzo wysokie. Dlatego też we wszystkich krajach, z których rekrutują się słuchacze United World Colleges, ich absolwenci mają wolny wstęp na studia. U nas również już w roku ubiegłym posiadacze międzynarodowej matury przyjmowano na studia bez egzaminów, tyle że kwestia ta nie była uregulowana centralnie, a sprawę każdego z kandydatów rozpatrywano oddzielnie.

(Inf. pras.)

JULIA DUSZYŃSKA



— Dobrze, synku. Od dziś zaczniemy składać na rower. Kiedy uskladasz połowę, tatko dołoży resztę i kupimy rower, jak Tadekowi. A tym czasem urośniesz do dużego roweru.

— Ja chcę zaraz! Nie będę czekał! Są przecież takie małe rowery. Tadek ma rower to i ja chcę!

— Pewnie! Czy ty jesteś gorszy? On ma rower, a ty nie! — dogaduje za uchem Cudaczek-Wyśmiewaczek.

Mama tłumaczy spokojnym głosem:

— Zaraz nie możesz mieć. Skądże tata weźmie pieniądze na dwa rowery w jednym roku?

— A Tadek ma? To i ja chcę!

— krzyczy Złośnicki coraz głośniej.

— Przede wszystkim nie krzycz — upomina mama.

— Chcę roweru! Chcę zaraz!!! Mama nie mówi już nic. Wychodzi z pokoju i zamyka drzwi. Pan Złośnicki rzuca się na ziemię, wali nogami w podłogę i krzyczy, krzyczy:

— Ja chceeeę roweeweeer!

— Hu, hu, hu! — zaśmiewa się Cudaczek pod kołnierzem chłopca. — Hu, hu! Jak wesoło!

Niewiele głośniejszy ten śmiech od komarowego brzęczenia, ale może dlatego, że tuż nad uchem, usłyszał go Złośnicki. Zerwał się na równe nogi:

— Kto się tu śmieje?

Nie zobaczył Cudaczka. Przecież to licho małe jak igła. Ale za to zobaczył siebie w lustrze. Zobaczył okropnie śmieszne, czerwone, zabeczane straszidło.

I przeląkł się. Zakrył twarz rękami i uciekł:

— To tak się wygląda? Ojej!

Za chwilę był w łazience. Umył zabeczaną twarz i ręce. Przycesał zmierzwiłone włosy. Pomyślał, pomyślał i wybiegł przed dom.

— Przewieziesz mnie, Tadek? — spytał grzecznie brata.

— Pewnie, że tak. Siadaj za mną.

Objechali plac jeszcze trzy razy.

— Dosyć — powiedział Tadek i zatrzymał rower.

— Nie! Jeszcze, jeszcze!

— Dosyć!

— Mało jeździłeś — pisnął Cudaczek za uchem, bo już mu brzuszek ścieniał.

Ale Złośnicki tylko trochę się skrzywił i powiedział!

— Szkoda.

Wieczorem, kiedy mama przyszła do niego na dobranoc, chłopiec objął ją mocno rękami za szyję:

— Mamusiu, coś ci powiem.

— No, co takiego?

— Ja nie będę się złościł.

— Naprawdę? To mnie bardzo cieszy.

— Ale ty, mamusiu, będziesz mi trochę pomagała? Powiesz mi zawsze: „lustrz”. dobrze?

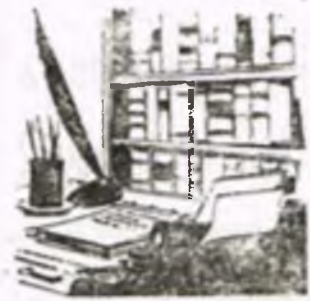
— Lustrz? No, dobrze. Powiem. A czy ty pomożesz?

— Pomożesz — westchnął Złośnicki, bo sobie przypomniał straszidło, które zobaczył dzisiaj.

Zaczęły się odtąd chude dni dla Cudaczka-Wyśmiewaczka. Złośnicki wpadał nieraz w złość, ale już takich przedstawień z tupaniem, waleniem w ścianę i krzykiem nie było nigdy. A nawet zwyczajne gniewy zdarzały się coraz rzadziej. Cudaczek śmiał się czasem raz na dzień. Czasem wcale. W brzuszku burczało głośno.

Pewnego deszczowego ranka, kiedy tata Złośnickiego akurat gdzieś wyjeżdżał, Cudaczek-Wyśmiewaczek wymknął się przez drzwi, kichnął, bo mu kapnęło za kołnierz i uczeplił się lewej nogawką tatkowych spodni. Pojechał w świat szukać lepszej gospody.

cdn



Rozmowy z Czytelnikami

Wśród nadsyłanych do Redakcji listów nie brak jest również i takich, których autorzy przedstawiają swoje trudności natury wewnętrznej — duchowej. W jednym z nich p. Antonina B. z Krotoszyna pisze co następuje:

„Zwracam się do Was z serdeczną prośbą o pomoc w moich cierpieniach duchowych. Tak się bowiem składa, że od pewnego czasu męczą mnie pokusy, z którymi w żaden sposób nie mogę sobie poradzić. Sytuacja jest tym trudniejsza, że mój podeszły wiek i zły stan zdrowia nie pozwalają mi ruszyć się z domu, by zasięgnąć porady jakiegoś duchowego. Nie muszę chyba przypominać, jak bardzo mnie to męczy. Może więc Duszpasterz, który tak chętnie przychodzi Czytelnikom z pomocą w rozmaitych trudnościach, zechciałby mnie pocieszyć i pouczyć, w jaki sposób mogę odzyskać łaskę Bożą i spokój duszy. Spodziewam się, że jako stała czytelniczka Waszego tygodnika, mogę liczyć na jego pomoc w tym względzie...

Równocześnie zwracam się z zapytaniem, czy wasza Redakcja

wydaje jeszcze „Kalendarz katolicki”. Tak się bowiem składa, że od dawna nie mogę go nigdzie kupić”.

Szanowna Pani Antonino! Z zasady nie odmawiamy pomocy nikomu, kto się do nas zwraca. W tym bowiem celu redagowana jest rubryka „Rozmowy z Czytelnikami”. Dlatego i Pani chętnie usłużę.

Na wstępie uważam za wskazane wyjaśnić terminologię w tym względzie. Wyrażenie „pokusa” — jak to wskazuje sama nazwa — wywodzi się od staropolskiego słowa „kusić”; znaczy to: próbować, lub doświadczać kogoś. Pokusa jest to więc rodząca się w człowieku chęć, czyli pragnienie spełnienia czegoś, co w danej chwili wydaje mu się miłe, przyjemne i korzystne i to bez względu na wartość moralną zamierzonego czynu. Źródłem tego niebezpiecznego dla duszy, a tak powszechnego wśród ludzi zjawiska, może być nasza słaba i ułomna natura — wtedy mamy do czynienia z pokusami wewnętrznymi. Niebezpieczeństwo to pochodzić może również od świata zewnętrznego (od złych ludzi, lub też od złego ducha, czyli szatana) — i wówczas są to pokusy zewnętrzne.

Według słów św. Jana apostoła, trzy są źródła pokus wewnętrznych: „Pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha żywota” (1 J 2,6). Pożądliwość oczu zmierza do tego, by możliwie jak najwięcej zdobyć i posiadać. Natomiast pożądliwość ciała pragnie dogodzić zmysłom, dotyku, wygodzie, lenistwu i namiętności cielesnej. Wreszcie pycha żywota dąży do tego, aby wynieść się ponad innych, a więc nie poddawać się cudzej prawowitej woli, nie słuchać.

Pokusy zewnętrzne są próbami doprowadzenia nas do złego

przez szatana, który jest odwiecznym wrogiem rodzaju ludzkiego. Przed niebezpieczeństwem grożącym z jego strony przestrzega apostoł Piotr, gdy pisze: „Bądźcie trzeźwi, czuwajcie! (Bo) przeciwnik wasz diabeł, chodzi wokół jak lew ryczący, szukając kogo by pochlonać. Przeciwdstawiajcie mu się, mocni we wierze” (1 P 5,8—9a). Apostoł ma tu na myśli trzeźwość naszego umysłu i woli. Pokusy pochodzą też niekiedy od przewrotnych ludzi, którzy we wciągnięciu innych do grzechu znajdują radość i uspokojenie, iż nie tylko sami ulegają moralnemu zepsuciu.

Pamiętać jednak należy, że pokusa — bez względu na jej pochodzenie i siłę — nigdy nie jest i nie może być grzechem, dokąd człowiek nie wyrazi zgody na to, co ona nam podsuwa. Stąd też przez pokusy nie tracimy jeszcze łaski Bożej. I to jest pierwsza zasada w tej dziedzinie. Zresztą nawet sam Chrystus (jak wspomina Ewangelista), „był wodzony w mocy Ducha po pustyni, i przez czterdzieści dni był kuszony przez diabła” (Łk 4,1—2). Zasadą drugą — o której również winniśmy pamiętać — jest ta, że Bog, który każdym człowiekiem się opiekuje i każdego chce zbawić, nigdy nie dopuszcza pokus ponad nasze siły. Prawdę tę przypomniał apostoł Paweł, gdy pisze: „Bóg nie dopuszcza, abyście byli kuszeni ponad siły wasze, ale z pokuszeniem da wyjście, abyście je mogli znieść” (1 Kor 10,13). Wreszcie trzecia zasada stwierdza, że przez walkę z pokusami gromadzimy zasługi na wieczność, ćwiczymy się w dochowywaniu wierności Chrystusowi oraz wyrabiamy swój charakter. Zwraca na to uwagę Adam Mickiewicz w słowach:

„Nawała pokus jako morska burza,
Dzielnych pływaków wznosi, a
słabych zanurza”.

Jednak Zbawiciel wskazał nam środki pomocne do przezwyciężania pokus. Zwracając się bowiem do apostołów, powiedział: „Czuwajcie i módlcie się, abyście nie popadli w pokuszenie; (bo) duch wprawdzie jest ochoczy, ale ciało mdłe” (Mt 26,41). Zwrócić tutaj należy uwagę na fakt, że Chrystus każe nam nie tylko modlić się w chwilach pokus, ale również czuwać nad naszymi zmysłami i skłonnościami do złego. Bez tej współpracy z naszej strony, najzarliwsza nawet modlitwa nic nam nie pomoże. Kto bowiem nie czuwa, naraża się tym samym na pokusy, a nawet na upadki w grzechy. Innymi środkami pomagającymi nam w walce z pokusami są: ustawiczna pamięć na wszechobecność Boga oraz unikanie bezczynności i próżnowania.

Przed kilku jeszcze laty można było nabyć „Kalendarz katolicki” w kioskach „Ruchu”. Jednak obecnie — z uwagi na ograniczony nakład i duże zapotrzebowanie — otrzymać go można jedynie w naszym Wydawnictwie. Dlatego kalendarz na rok 1986 proszę zamówić pod adresem: Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, ul. J. Dąbrowskiego 60, 02-561 Warszawa.

Łącząc pozdrowienia dla wszystkich Czytelników, polecam Panią opiece Bożej oraz życzę wewnętrznego spokoju

DUSZPASTERZ

PORADY

Lekarskie

Przeziębienie

Medycyna nie zna w zasadzie jednostki chorobowej, określanej nazwą „przeziębienie”. W języku potocznym jednak nawet najznakomitsi lekarze posługują się tym terminem dla określenia pewnego typu dolegliwości. Chodzi tu przede wszystkim o choroby górnych dróg oddechowych.

Faktem jest, że oziębiona okolica naszego ciała reaguje zmniejszonym ukrwieniem. W rezultacie komórki otrzymują mniejszą ilość tlenu, co powoduje zaburzenia w miejscowej przemianie materii. Przy niedokrwieniu jednej okolicy ciała może się zdarzyć skurcz naczyń krwionośnych i niedokrwienie w innym

miejscu. Pacjenci zwykle o tym nie wiedzą, a nawet wiedząc nie bardzo chcą uwierzyć w tak dziwną reakcję organizmu. A tymczasem gwałtowne oziębienie lub przemoczenie stóp może spowodować zmiany w ukrwieniu tchawicy i w konsekwencji wystąpienie chrypkii. Bakterie ropne, które spokojnie dotąd bytowały na migdałkach podniebnych, wykorzystują okazję zmniejszenia odporności miejscowej, występującej jako następstwo niedokrwienia i uaktywniają się szybko, powodując wystąpienie anginy z temperaturą i silnym bólem gardła.

Wymienione przyczyny są bardzo częste, jednakże nie tłumaczą innych okoliczności: na przykład wpadnięcie do zimnej wody, nawet w ubraniu, prawie nigdy nie powoduje zapalenia górnych dróg oddechowych. Ciekawie, że również „doświadczalne” wywołanie przeziębienia bardzo często się nie udaje.

Znany jest fakt, że napływ cieplejszego powietrza zimą, odwilż, wyraźnie zwiększa liczbę chorych na gripę, katar, anginę. Paradoks ten można łatwo wy-

jaśnić: w okresie mrozów ubieramy się ciepło i grubo, i mamy w ten sposób zrównoważony bilans cieplny. Po nagłej odwilży i ociepleniu nie redukujemy ilości odzieży, poprzestając na rozpinaniu palt i kożuchów, i w ten sposób stwarzamy warunki intensywnego i nierównomiernego ochładzania organizmu.

Trzeba przy tym wiedzieć, że silne zziębnięcie ogólnie rzadziej prowadzi do wspomnianych chorób niż łagodniejsze, ale dłużej trwające. Długotrwałe przebywanie w pokoju, którego temperatura ścian jest znacznie niższą niż temperatura powietrza, może szybciej zaszkodzić niż brodzenie przez chwilę w lodowatej wodzie.

W katarze nosa i zapaleniu tchawicy, oprócz niskiej temperatury zewnętrznej, znaczną rolę odgrywa ciśnienie pary wodnej w powietrzu. Przy niskiej temperaturze zewnętrznej wdychana para łatwo kondensuje się na błonach śluzowych, przez co stają się one wilgotniejsze niż normalnie, co z kolei powoduje zmniejszenie stężenia soli i spadek ciśnienia w płynach komór-

kowych tych błon. Następtwem zaś tego jest możliwość łatwego podrażnienia błon śluzowych jakimkolwiek bodźcem, choćby pyłem znajdującym się w powietrzu, ostrym zapachem czy po prostu zimnym powietrzem.

Zjawisko to można zauważyć, porównując kąpiele w jeziorze i w morzu. Pływak w jeziorze zauważa, że słodka woda „szczypie w nos”, podczas gdy pływak w morzu nie ma takiego uczucia.

Na „przeziębienie” najodporniejsi są ludzie, którzy mają prawidłową budowę ciała. Ludzie chudzi i wysocy mają powierzchnię ciała za dużą w stosunku do wagi, dlatego też często zapadają na katar, szczególnie wiosną, otyli zaś raczej zimą, co można wyjaśnić silniejszym poceniem się i niekorzystnymi warunkami ochładzania ciała. Oczywiście przez odpowiednie hartowanie organizmu można w dużej mierze wyrobić sobie odporność na wszelkie choroby „przeziębieniowe”.

Lek. med. Anna MAŁUSZYŃSKA

— Oho, oho! Rada jest na wszystko, byle się nie spieszyć! „Pośpiech to złodziej”, mówili ojcowie. Na jesień niech Czertwan szuka sobie innego ekonoma do Skomontów albo sam się weźmie, bo Marek na swoje pójdzie. Już mu czas. Ile masz lat?

— Dwadzieścia osiem minęło na wiosnę!

— Strach! Co to się dzieje teraz. Ja w tym wieku czworo dzieci już miałem, tylko że mi umierały jak na komendę, aż żadnego nie zostało! No, ma się rozumieć, miałem olej w głowie, nie bałem się macochy ani słuchałem każdego! Toteż i wyszedłem na człowieka.

— I Marek wyjdzie, dziadusi! — upomniała się dziewczyna. On taki duży!

— Głupiaś! — mruknął stary, groźnie brwi marszcząc.

Zaśmiała się swawolnie.

— A dziadziś co dzień sąsiadom prawi: „Niech no mi na jesieni Marek osiedzi na gospodarce, to zobaczycie, co potrafi młoda głowa i ręce”. Pan Gral świadczył.

Spojrzała przekornie na młodego chłopca, a on pod tym spojrzeniem wzrok spuścił i westchnął nieznacznie.

— Głupiaś! — powtórzył Wojnat, wstając z miejsca.

Ruszyli się wszyscy. Ona pierwsza wybiegła z izby i po chwili z ogródka doleciał jej cienki głosik słowami piosenki:

Za lasami,

Za polami

Stoi domek przy ruczaju,

Tam dziewczyna

Jak malina,

Mieszka, by aniołek w raju.

Marek podniósł się z ławy opieszale.

— Pójdę już — rzekł.

— Czy ci do macochy tęskno? — zamruczał Wojnat.

— Zmitrężyliśmy trzy dni. Ojciec pewnie niespokojny.

— Ani trochę. Słyszę, już na wakacje przyjechał Witold, a i dziewczyna pewnie wróciła z Rygi.

— Już byli, jako odjeżdżałem!

— Otóż to. Dosyć ich tam bez ciebie. A jutro niedziela. Odpocznij ze swoimi.

— Dziękuję, wuju!

W chwili gdy siadali na powrót u okna, skrzynęły wrota od ulicy i na podwórzu rozległ się obcy głos.

— Tepus buas pagarbientas Jezus Chrystus.

— At amziu amzius! — odparła dziewczyna z ogródka i spytała natychmiast:

— Czy pan Marka szuka, panie Ragis, tutaj?

— A gdzieżby on był! — rzekł nowo przybyły.

Marek porwał się z ławy i wyszedł na podwórze. Gość szukał go oczyma około dziewczyny, która oparłszy się o płot ogródka, rozmawiała plotąc wianek z pęka malw i stokroci. Był to człowiek małeńki, szczupły, kaleka, z kulą u nogi, ubrany w surducinę siną, krojem żołnierskim i taką wypłowiałą czapkę. Twarz miał okrągłą, rumianą, szwów i blizn pełną, sterczały z niej jak szrydła siwe wąski i świeciły figlarne, zmrużone szare oczki.

— Dobry wieczór, Rymko Ragis! — pozdrowił go Marek od progu.

— Wróciłeś przecie! Ho, ho! Myśleli, żeś drapnął w świat jak Kazio!

— Mieliliśmy kwarantannę. Na granicy padł byk Grala!

— Aha, Szkoda chłopca! Dawno wróciłeś?

— Będzie dwie godziny.

— Dobrze trafiliem! Chodźmy!

Zawrócił się, pokulał za wrota, kiwnąwszy głową dziewczynie. Gdy się obejrzał na drodze, młodzi szli za nim powoli; gdy minął rozdroże zaznaczone kapliczką i krzyżem, ona została pod Bożą Męką, strojąc ją w kwiaty, a on kroku przyspieszył i wnet się zrównał z kaleką.

Główną drogę zostawili na prawo, ścieżką przez łąki nadrzeczne szli w kierunku dąbrowy i milczeli długą chwilę, jakby się wczoraj rozstali.

A jednak mijało trzy tygodnie, jak Marek Czertwan poszedł do Prus z partią opasów na sprzedaż i wracał zaledwie.

Zmudzin nie lubi zaczynać rozmowy, ciekawym nie jest — on patrzy, słucha i ... milczy.

Z dali dąbrowa wyciągała do nich jakby ramiona, czarnym cieniem zabiegając drogę, chodziły po niej szmery różne i szelesty tajemnicze.

Z łąki weszli w gąszcz jeżyn, jesionów karłowatych i dzikich róż; potem wielkie dęby otoczyły ich, szli po miękkim mchu i paprociach, gdy stary ozwał się wreszcie pierwszym smutnym, zgnębionym głosem.

— Ze złą wieścią spotykam ciebie, Marku!

Młody nie przeraził się, nawet oczu nie podniósł.

Po minucie zaledwie namysłu spytał spokojnie głuchym swym głosem:

— Jakaż, Rymko Ragis?

— Ojciec twój umiera...

I na to nie było żadnego wybuchu. Marek Czertwan znowu pomyślał chwilę, nim rzekł słowo.

POZIOMO: 1) stacja przeładunkowa na granicy polsko-radzieckiej, 5) dźwig portowy, 10) publiczna gra hazardowa, 11) słynna powieść Joyce'a, 12) państwo w Afryce, 13) źródło oświetlenia ulicznego, 15) miejscowość nad Jasiołką z muzeum biograficznym Marii Konopnickiej, 16) płaz bezogonowy, 19) pasza zbożowa, 21) taniec regionalny, 25) wąskie połączenie dwóch większych obszarów wodnych, 26) więcej niż tydzień, 28) szlagier, 29) w grze z kółeczkiem, 30) gładka powierzchnia jeziora, 31) kawalerska kompania.

PIONOWO: 1) czasopismo poświęcone modzie, 2) chrześcijaństwo albo islam, 3) ociepla zimowe ubrania, 4) urok, powab, 6) jedyny w swoim rodzaju, 7) bohaterka „Cichego Donu”, 8) żołnierska czapka polowa, 9) jedno z większych miast Iranu, 14) poręka, poręczenie, 17) trafny pomysł, 18) rozjaśnia choinkę, 20) grał rolę księdza w sfilmowanych „Chłopach”, 22) organizator, 23) zamyka komuś usta, 24) postać z „Zemsty”, 27) eksponat.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce „Krzyżówka nr 7”. Do rozlosowania:

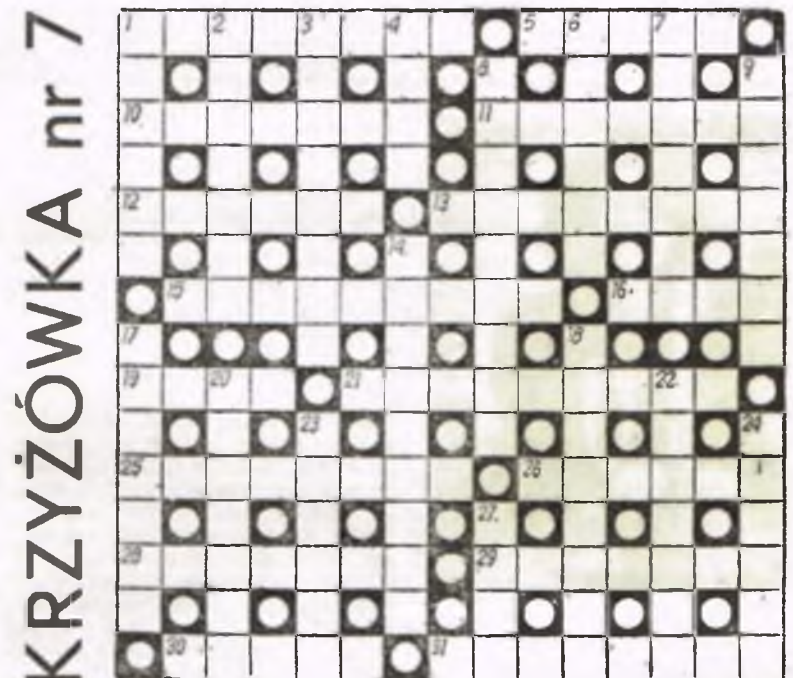
nagrody książkowe

Rozwiązanie krzyżówki nr 1

POZIOMO: sosjerka, Agata, sekvens, tłuszczyk, esteta, igrzyska, przydział, Sara, rosa, krajowiec, podeszwa, statek, nesesor, uznanie, hałas, serenada.
PIONOWO: system, sekator, elektryk, kosz, grusza, trzaska, stagnacja, szlaban, szarawary, trepang, swatanie, sadysta, Estonia, asysta, ukleja, Ruse.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 46 nagrody wylosowali: Stanisław Rytel z Warszawy i Jerzy Schroeder z Gorzowa Wlkp.

Nagrody prześlemy pocztą.



KRZYŻÓWKA nr 7

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spółeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. J. Dąbrowskiego 60, 02-561 Warszawa, telefon redakcji: 45-04-04, 45-11-20; administracji: 45-54-93. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312 zł, rocznie 624 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratców: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratcy. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasowy i Wydawnictwo, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-20145-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zlecających indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — od dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawa skracania materiałów nie zamówionych. Druk PZGraf. Sm. 10/12. Nakład 25 000. Zam 38 P-02

MARIA RODZIEWICZÓWNA



Słońce zachodziło za gaj dębowy, wtulony w widły Dubissy i Ejni, w starym, cichym kraju świętych dębów, węży i bursztynu. Za chmurę siwą się kryło. Ostatnią wiązką złotych blasków zegnając stary, żmudzki zaścianek szlachecki, do brzegu potoku przyparty i otulony seciną lip niebotycznych, wiśni i jarzębiny.

Był to sobotni wieczór, rozkoszny dla pracującego ludu i dobytka. Z pól ściągaly na nocleg starodawne sochy, robocze woły, wozy drabiniaste i niewielkie, żwawe koniki; schodzili się smukli młodzieńcy z kosami na ramieniu, smagle, złotowłose dziewczęta ze śpiewką na ustach, dziatwa, zapędzająca pod strzechy stada bydła i owiec.

Aż wreszcie uciszył się zaścianek, skupiło życie po izbach i podwórzach, gdziegdzie ozwały się tony skrzypiec i fujarki, śmiechy młodzieży, gwar nawoływania, a bociany wstawały na gniazdach i jak kaznodzieje prawły coś do tej rzeszy ludzkiej...

Najciszej było w zagrodzie starego Piotra Wojnaty, znacznej wśród innych dobrobytem i zamożnością. Czworo osób osiadło stół, na którym dymiała wieszka w wielkich, polewanych misach, woń cebuli i świeżego chleba roztażając na całą izbę. Gospodarz siedział w rogu, między dwoma oknami, w siwej kapocie, suchy, zgity w kablak starzec. Wodził powoli łyżkę do ust i powoli, gderliwym tonem wiodł rozmowę z sąsiadem na prawo.

Był to średniego wzrostu młodzian, ciemnowłose, mizerny, ubrany, jak Wojnat, w strój zaścianka, na pół chłopski, na pół szlachecki. Opowiadał coś w przerwach jedzenia smętnym, cichym głosem: wyglądał zalękły, zgnębiony, oczy tylko podnosił co chwila i spoglądał nie wiadomo: w okno czy na siedzących naprzeciw.

Tamci nie odzywali się wcale. Dziewczyna złotowłosa, rumiana

zwracała profil do światła i przechylając się za otwarte okno, obrywała swawolnie purpurowe owoce z wiśni rosnącej pod samą ścianą. Na kolanach trzymała kapelusz męski i za tasiemkę nawlekała wianeczek z wiśni, uśmiechając się do swej psoty.

Siedzący obok niej młody człowiek przypatrywał się jej ręką opaloną, ale zgrabną, czasem głowę jej i ładne rysy objął wzrokiem i milczał. Olbrzymiego był wzrostu i ubrany z pańska w cienie, ciemne sukno: w mroku siedział, zgarbiony, a długie spadające na czoło włosy zakrywały mu połowę twarzy.

Niekiedy dziewczyna, znudzona tą milczącą obserwacją, rzucała mu owoc dojrzały. Wtedy spod jasnej grzywy strzelało coś niby iskra w jej błękitne oczy i znowu gasło. Wiśnie brał w opalone dłonie i nie jadł, jakby żałował!

Jedzenie zniknęło ze stołu. Nareszcie stara sługa sprzątnęła resztki, mężczyźni dobyli fajki i gospodarz raz pierwszy zwrócił się do milczącego biesiadnika.

— A nie masz tam czasem zagranicznego tytoniu, gościńca dla wuja?

— Za granicą gorszy pałą! — odparł zagadnięty, pomimo to dobywając z kieszeni wzorzysty, skórzany woreczek.

Stary kościste palce zanurzył weń i napychając fajkę, mruczał:

— Familijne skapstwo Czertwanów. Woli żab wyrwać, jak grosz wydać! At!

Dziewczyna odeła usta żałośnie.

— Dziadek myśli, że on o mnie pamiętał? Uchowaj Boże!

Winowajca milczał, za to smutny młodzieniec ujął się za nim.

— Nie własny towar sprzedawał. Byki z poświckich gorzelni, to i nie miał za co kupować prezentów, ledwie starczyło na przekarmienie tego, co pan Czertwan wynaczył.

— Dobry i stary, i młody, Dobrali się w korcu maku! Stary zwarłował na wielki rozum, a on taki całkiem głupi. Orzą nim jak wołem.

— Rychło przestaną, jak się ożeni i do naszych Sandwólów, do was przyjdzie — mówił dalej obrońca uśmiechając się smutnie, jak na stypie.

Dziewczyna pokraśniała jak wiśnie u kapelusza, a stary łysine pogładził i trochę udobruchany spojrział na mruka.

— Aha? Cóż? Ratuje ja go, ratuję, ile mocy. Siostrzany syn, sierota, chciałem za dziecko wziąć kiedyś, ojciec nie dał. Ha! co robić, nie dał, to on i sam do mnie przyszedł!

Dziewczyna zrobiła grymas, mówiący jasno: „Prawda! zobaczyłbyś go beze mnie!” Ale stary nie zważał.

1



Faworki

Aby zagnieść ciasto potrzebujemy: 2,5 szklanki mąki, 5 żółtek, łyżkę masła, kieliszek spirytusu, pół szklanki kwaśnej śmietany, 1 kg smalcu, cukier puder, ewentualnie, gdy zabraknie — rozarty na proszek cukier waniliowy do posypania.

Do przesianej mąki dodajemy żółtka, masło, spirytus i śmietanę. Zagniatamy ciasto tak długo, aż na powierzchni pojawiają się małe pęcherzyki. W międzyczasie na wolnym ogniu topimy smalec w niezbyt wysokim, dość szerokim naczyniu. Ciasto rozwałkowujemy mniej więcej na grubość makaronu, po czym kroimy w paski wielkości 3×10 cm, nacinamy w środku i przeciągamy w charakterystyczne karkadki. Smażymy na dobrze rozgrzanym tłuszczu do momentu uzyskania przez ciasto złocistego koloru.

Warto przy tym pamiętać, by rozgniecione i rozwałkowane ciasto nie czekało zbyt długo na usmażenie, gdyż faworki stwardniają i tracą kruchość.

Usmażone faworki najlepiej układać na arkuszu papieru — wchłania on zbyt dużą ilość tłuszczu. Dopiero potem można je lekko przyprószyć cukrem-pudrem i ułożyć na talerzu. Tak przyrządzone będą na pewno

smakować i domownikom i zaproszonym gościom.

Pączki

Wymagają następujących składników: 80 dkg mąki, 8 dkg drożdży, 2 szklanki mleka, 7 żółtek oraz 3 całych jaj, kieliszka spirytusu lub rumu, 15 dkg masła, 1 kg smalcu do smażenia oraz cukru-pudru i konfitury, względnie marmolady do niedziewania. Norma przewidziana na 32 pączki.

Z mąki, mleka i drożdży rozczynić ciasto. Żółtka oraz pozostałe jaja utrzeć z cukrem i gdy ciasto podrośnie dodać do zaczynu wraz z odpowiednią ilością spirytusu lub rumu, resztą mąki oraz rozpuszczonym masłem. Tak przygotowane ciasto wyrobić aż będzie „odchodziło” od ręki, po czym odstawić do wyrośnięcia. Gdy wyrośnie, natłuszczoną lekko dłonią formować kawałki ciasta na okrągłe bułeczki, wypełniając przedtem konfiturą lub marmoladą. Układać na przysypanej lekko mąką tacl lub stolnicy. Przed smażeniem przykryć jeszcze na chwilę czystą ściereczką, by nieco urosły. Wyrośnięte smażyć na małym ogniu w odpowiednim rondlu, obracając widelcem do momentu aż równomiernie uzyskają złocisty kolor.

Usmażone pączki można dekorować skórką pomarańczową, można też zalać lukrem lub posypać cukrem-pudrem.

Tort ekspresowy

Jak sama nazwa wskazuje, nie wymaga zbyt wiele czasu ani pracy. Potrzebuje natomiast: 35 dkg masła, 25 dkg cukru-pudru, 3 żółtek, 2 paczek biszkoptów (mogą być „Alberty”), 1/2 tabliczki czekolady, 2 sztuk wafli andrutów, mleka, orzechów włoskich i usmażonych skórek pomarańczowych.

Masło ucieramy z cukrem-pudrem, dodając stopniowo po jednym żółtku. Do tak przygotowanej masy dodajemy zmielone biszkopty i jeszcze chwilę ucieramy. Masę dzielimy na dwie części: do jednej dodajemy drobno pokrajaną skórkę pomarańczową (lub startą na tarce skórkę z cytryny i wyciśnięty sok), do drugiej — rozpuszczoną w niewielkiej ilości mleka czekoladę, posiekane orzechy.

Przygotowaną masę wykładamy na andruty w ten sposób, że na pierwszy wafel wykładamy masę jasną, przykrywamy drugim, który pokrywamy z kolei masą ciemną. Całość przybieramy paseczkami wykrojonymi ze skórki pomarańczowej i połówkami włoskiego orzecha. Smaczne to i odpowiednio na każdą okazję!

Bronisława

Kącik kulinarny

Faworki, pączki, torty

Karnawał w tym roku krótki. „Tłusty czwartek” tuż, tuż... Warto więc może przypomnieć przepisy na zawsze niezawodne na karnawałowy wieczór „słodkości”.